



F 218.665

A. CONAN DOYLE

MISTRZ  
z KROCKSLEY



C/426

WARSZAWA  
„KONSORCJUM WYDAWNICZE“  
W Spółdzielni Wydawniczej  
Pomorskiego Pow. Bydgoszcz

[1922]

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001016538823



I 218.665

---

Zakłady Graficzno-Wydawnicze „Książka“  
Warszawa, Tamka 46. Tel. Nr. 33-20.

---

sl. 705



Sanatorium Przeciwingruźlicze  
Samorządu Województwa Pomorskiego  
w Smukale, pow. Bydgoszcz

I.

Robert Monthomeri siedział za kontuarem, wsparłszy głowę na rękach. Przejmował go przygnębiający smutek. Przed nim leżała otwarta księga apteczna, zapisana od góry do dołu receptami doktora Oldakra. Obok stała blaszana taca z drukami do recept, nieco dalej skrzynka z korkami i rząd pustych buteleczek. Wszędzie na kontuarze rozrzucone były kawałki laku.

Przez brudne okna apteki widać było ciemnoceglasty budynek fabryki i potężne, wyniosłe kominy, ginące u szczytów w kłębach czarnego dymu. Co tydzień w ciągu sześciu dni kominy wyrzucały z siebie kłęby żrącego dymu, dziś jednak z powodu niedzieli, potwory te odpoczywały. Wstrętna, brudna mgła unosiła się w powietrzu nad ziemią, którą shańbiła i spustoszyła ludzka zachłanność. Nie było tu nic takiego, co by mogło rozjaśnić duszę, pogrążoną w smutku.

Lecz zgoła nie ten melancholijny widok napawał smutkiem pomocnika doktora Oldakra. Przygnębienie jego i apatię wywołały zgoła inne okoliczności. Oto zbliżał się okres zimowy i chwila, kiedy trzeba było wyjechać do Londynu i powrócić na uniwersytet, gdzie jeszcze rok pozostał do ukończenia studjów i otrzymania dyplomu. Lecz... Robert Monthomeri nie miał środków na opłacenie nauki i — co gorsza — nie wiedział, skąd wziąć pieniędzy. Potrzeba mu było ni mniej ni więcej tylko sześćdziesiąt funtów. To nie żarty — sześćdziesiąt funtów! Zdobycie sześćdziesięciu jest tyle prawdopodobne, co zdobycie tysiąca, bo takiaj sumy nikt nie da.

Posępne rozmyślanie Roberta przerwało zjawienie się doktora Oldakra. Był to wysoki, gładko wygolony, elegancki pan z przesadnemi manjerami i szlachetno-surowym wyrazem twarzy. Zamożność i praktyka czyniła go zależnym od duchowieństwa, więc starał się o takie zachowanie, jakie było mu potrzebne do przypodobania się swym protektorom. Doktor Oldakr zachowywał pozory najwyższej godności i wymagał tego od swych podwładnych. Jego wygląd zewnętrzny i sposób wymowy nacechowane były pewną nieokreśloną wspaniałomyślnością.

Pogrążony w myślach o przyszłości student



podniósł oczy na swego zwierzchnika i błysnęła mu nagle myśl do głowy. Postanowił w tej chwili zbadać, czy doktor posiada istotnie skłonności filantropijne.

— Proszę mi wybaczyć, panie doktorze, ale mam do pana wielką prośbę — rzekł, wstając.

Na twarzy doktora odmalował się wyraz niewiele obiecujący. Ściągnął usta i spuścił oczy. Potem zapytał.

— Czemu panu mogę służyć, mister Monthomeri?

— Pan wie zapewne, że pozostał mi jeszcze rok do ukończenia uniwersytetu?

— Tak, mówił mi pan kiedyś.

— To dla mnie bardzo ważne, sir.

— Rzecz zupełnie zrozumiała.

— Panie doktorze, za naukę będę zmuszony zapłacić sześćdziesiąt funtów.

— Mister Monthomeri, nie mam czasu: muszę jechać do chorego.

— Na jedną chwilkę, sir... chciałem prosić o pożyczkę mi tych pieniędzy... ja panu dam weksel i procenty uiszczę. Zapewniam pana, sir, że oddam dług, albo odrobię tę należność po ukończeniu kursu.

Doktor zacisnął usta aż do przesady. W oczach jego zwróconych teraz na studenta błyskało gniewne niezadowolenie.

— Mister Monthomeri, prośba pana jest nierozsądna. Dziwię się jej i panu się dziwię. Pomyśl, sir, ilu studentów-medyków posiada Anglja. Bez wątpienia wielu z nich nie ma funduszków na kształcenie się tak, jak pan — czyż ja mam zaopatrywać w pieniądze wszystkich tych młodzieńców? Albo może panu okazać tę łaskę? W takim razie proszę mi wytłumaczyć, dlaczego miałbym względem pana robić wyjątki? Jestem rozgoryczony i onieśmielony, mister Monthomeri, i winę tego panu przypisuje. Pan właśnie wciągnął mnie w takie położenie, że musiałem panu odmówić.

Doktor zakręcił się na pięcie i z miną obrażonej godności wyszedł z apteki. Student uśmiechnął się gorzko i zabrał się znowu do przygotowywania recept. Jakże nędzna i łatwa była ta praca! Mógł ją wykonywać najślabszy człowiek, ale nie on, posiadający niepospolitą siłę i żelazną energję. Jednak cóż było robić! Na kawałek chleba pracować w ten czy inny sposób. Za służbę u doktora Oldakra otrzymywał całodzienne życie i funt szterlingów na tydzień. Dzięki tej płacy mógł egzystować w ciągu całego lata bez troski i uciuć kilka funtów na zimę. Najgorsza tylko rzecz — ta opłata za naukę! Z pensji Robert nie mógł uskładać niezbędnej kwoty, a nadzieja cała pokładana w doktorze zawiodła. Sta-



nowczo, niema skąd wziąć pieniędzy. Monthomeri znalazł się naprawdę w położeniu bez wyjścia. Wprawdzie ma rozum, lecz któż ceni rozum na rynku życiowym! Posiada siłę fizyczną, ale komu się ona przydać może!

Rozmyślając tak, Monthomeri nie przeczuwał, że niezbadane zrządzania losu zbliżają mu chwilę ratunku.

— Hej, ty! — rozległ się głos podedrzwiami.

Był to głos ochryply, ale doniosły. Monthomeri podniósł oczy. W drzwiach stał młody krępy górnik o szerokich ramionach i szyi byka. Odziany był odświętnie: w szarym ubraniu i jasnym krawacie, ale, wnosząc z oczu ciemnych i zawadjackich oraz ze szczęk i pyska, jak u buldoga, twarz jego nie wróżyła nic dobrego.

— Hej, ty! — powtórzył górnik — dlaczegoś nie przysłał mi lekarstwa według rozkazu twojego pana?

Monthomeri oddawna przyzwyczał się do otwartej i bezwiednej brutalności północnego robotnika. Początkowo ordynarne zachowanie się tego ludu doprowadzało go do wściekłości, lecz z biegiem czasu umiał być pobłażliwym i nie zwracał najmniejszej uwagi na tego rodzaju niegrzeczności. Jednakowoż w danym wypadku miał

do czynienia z niezwykłym chamstwem, obmyslnem z góry, i — pogroźką.

— Z kim mam przyjemność? — zapytał chłodno.

— Jestem Barton. Pamiętaj, abym nie potrzebował przypominać ci tego nazwiska. Teraz ja tobie rozkazuję: w tej chwili mi zrób lekarstwo dla żony! W przeciwnym razie — miej się na baczności.

Monthomeri uśmiechnął się. Poczuł w sobie nagle jakąś ulgę. Jego naprężone nerwy potrzebowały wyładowania i oto odpowiednia sytuacja nastąpiła sama. Obraza była zbyt widoczna i natarczywość zbyt wielka, aby można było liczyć się z tym gburem. Monthomeri, nie śpiesząc się zapieczętował buteleczkę, napisał receptę i postawił lekarstwo na półce.

— Słuchaj pan! — rzekł, zwracając się do górnika — pańskie lekarstwo będzie gotowe, gdy przyjdzie na nie kolej. Wtedy odeślę je panu. Teraz do apteki wstęp wzbroniony. Jeśli pan chcesz zaczekać, to proszę sięść sobie w poczekalni.

— Młodzieńcze,—odparł górnik,—ja zostanę tutaj, a ty mi niezwłocznie przygotujesz lekarstwo. Czy słyszysz: niezwłocznie, w tej chwili. Jeśli nie ulegniesz memu rozkazowi, to wiedz, że lekarstwo przyda się tobie.



— Ja bym panu nie radził wywoływać awantury — oznajmił Monthomeri dobitnie, głosem powolnym, skandując każde słowo i hamując się z widocznym trudem, — wyjdź pan spokojnie, gdyż to dla pana będzie lepiej. Jeżeli się pan nie powstrzyma, to zapewniam, że będzie źle... Ha! zachciało się panu skandalu!... Proszę, masz pan!

Uderzenia nastąpiły prawie jednocześnie. Górnik zamierzył się z całej siły potężna jego pięść błysnęła koło ucha Monthomeri. Student odpowiedział szybko i ugodził górnika pięścią w podbródek. Uderzenie gburą uświadomiło go, że ma do czynienia z przeciwnikiem niezwykle silnym. Nie przypuszczał, aby w tym człowieku było tyle siły. Ale i górnik również nie liczył na opór i dlatego nie uniknął uderzenia.

Robotnik uderzył głową o narożną półkę, zwałił się na podłogę, skręcił nogi i rozłożył ręce. Był nieprzytomny, a z rozbitej głowy sączyła mu się krew cieniutkim strumieniem, zabarwiając tafle posadzki.

— I cóż? ma pan dosyć? — zapytał gniewnie Monthomeri, wstrzymując oddech.

Ale robotnik nie odpowiedział. W ciągu długiego czasu nie dawał znaku życia. Dopiero teraz Monthomeri zrozumiał, w jak niebezpiecznej znajdował się sytuacji. Na samą myśl o swem poło-

żeniu zbladł, jak kreda. Mój Boże! Niedziela, szlachetny doktor Oldakr, uczciwa praktyka i oto nagle bójka w aptece! Jeżeli wiadomość o tem rozejdzie się, nie pozostanie nic innego, jak rzucić posadę. Przypuśćmy, że posada jest godna pożałowania, ale czy inną można znaleźć bez referencji? Brak środków na wpisowe, teraz znów stracona posada — co dalej będzie? Poprostu rozpacz ogarnia.

Jednak może się uda zażegnać sprawę. Student chwycił za rękę swego przeciwnika, wyciągnął go na środek pokoju, rozluźnił mu krawat i zaczął nacierać twarz zmoczoną w wodzie gąbką. Robotnik westchnął, jęknął nieludzkim głosem i siadł na podłodze.

— Niech cię djabli porwą! zepsułeś mi krawat — warknął, otrząsając wodę z surduta.

— Przykro mi bardzo, żem pana tak silnie uderzył — usprawiedliwiał się Monthomeri.

— Silnie uderzył! Twoje uderzenie jest śmieszne, bo takie bicie wytrzymam w ciągu całego dnia. Nie od pięści twej upadłem, ta półka parszywa rozbiła mi łeb. No, dobrze. Chwal się żeś mnie powalił z nóg. A obecnie bądź łaskaw zrobić dla żony mojej lekarstwo.

Monthomeri spełnił prośbę skwapliwie i wydał robotnikowi lekarstwo.



— Radziłbym panu trochę odpocząć, pan jest jeszcze osłabiony -- rzekł.

— Nie mogę, żona czeka na lekarstwo — odparł górnik i wysunął się z apteki.

Student podszedł do okna. Robotnik włókł się krokiem chwiejnym, poczem spotkał go drugi robotnik, i obadwaj poszli dalej pod rękę. Widocznie górnik zwyczajem ludzi północnych nie miał pretensji za pobicie, więc doktor nie dowie się o całej sprawie. To przypuszczenie uspokoiło Monthomeri, bo szybko mokrą ścierką zatarł ślady na podłodze, zrobił w aptece porządek i zabrał się do przygotowania lekarstw. W duchu dziękował Panu Bogu, że tak ryzykowna awantura skończyła się pomyślnie.

Mimo to student czuł się nieswojo. Gorzej jednak zrobiło mu się po południu. Gdy znalazł się u siebie w mieszkaniu, weszła służąca i oznajmiła mu, że w aptece czekają na niego jacyś trzej panowie, którzy chcą z nim pomówić. Monthomeri osłupiał. Zdawało mu się, że Barton umarł, a ci panowie są jego kuzynami i przyszli zagniewani w celu pociągnięcia go przed oblicze sędziego śledczego. Badania, ajenci, więzienie i inne ponętne właściwości policyjne — ukazały się teraz wylęknionym jego oczom, jak potworne widzia-



dła. Poszedł do apteki, ale nie mógł opanować zdenerwowania.

Czekał na niego swego rodzaju tercet. Monthomeri znał wszystkich trzech panów z widzenia, lecz ujrawszy ich teraz nie mógł zrozumieć, dlaczego zebrali się razem, a zwłaszcza w jakim celu on im był potrzebny.

Pierwszy z nich Sorley Wilson uchodził za rodzzonego syna właściciela olbrzymiej kopalni węgla. Miał dwadzieścia lat, był spadkobiercą wielkiego majątku i dzielnym sportsmenem. Pobierał nauki w Cambridge, w collegjum Magdaleny, do domu zaś wrócił na wielkanocne wakacje. Teraz siedział na stole, machając w powietrzu nogami i kręcąc końce maleńkich, czarnych, wypomadowanych wąsików. Wchodzącego Monthomeri obrzucił milczącym spojrzeniem.

Drugim z gości był restaurator Purwis, właściciel dużej piwiarni. W okręgu znano go jako bookmakera. Ciężki, przysadzisty, o fizjonomji starannie wygolonej miał czaszkę pozbawioną zupełnie uwłosienia, dzięki czemu głowa jego błyszczała, jak kość słoniowa. Wyraz jego twarzy znamionował okrucieństwo, długie rzęsy zasłaniały mu jasno-błękitne oczy. Siedział, mając czerwone tłuste ręce oparte na kolanach i wzrokiem krytycznym oglądał studenta.

Trzeci — żokiej Fausett zajmował krzesło, rozłożony na niem w pozie niedbałej. Wyciągnął długie, ciężkie nogi w botfortach i uderzał się w zęby rączką szpicruty. Na smagłej, kościstej jego twarzy malował się niepokój i troska.

Monthomeri siadł również i obejrzał swoich gości.

— Jestem do usług, gentlemani—rzekł i zdziwił się niezmiernie, gdy po upływie kilku chwil żaden mu nie odpowiadał. Sytuacja stawała się przykra.

— Nie, nie — oznajmił wreszcie żokiej, — to na nic, ta rzecz się nie nadaje.

— Niech no pan wstanie, chłopcze, — zwrócił się do studenta restaurator — musimy pana obejrzyć w pozie stojącej.

Monthomeri uległ. Potrosze odgadywał ich zamiary i uzbrajał się w cierpliwość. Wstał i zaczął powoli kręcić się, jak klient przed krawcem.

— Niezdatny! Powiadam wam, że niezdatny do niczego! — krzyknął jeździec, — zlitujcie się, ludzie, Mistrz jednym palcem go strąci.

— Niech mnie lichy porwie! — zawołał student z Cambridge, — pan, panie Fausett, możesz ustąpić, jeśli chcesz, lecz ja interes obrobuję.

Wiem, że nie zaryzykuję ani nie stracę jednego pensa. Niech djabli porwą, mnie się jego budowa ciała bardziej podoba, niż Ted Bartona



— Mister Wilson, proszę uprzytomnić sobie, jakie Barton ma ramiona!

— Ech, tusza nie oznacza siły. Daj mi nerwy, ogień, rasę — to główne warunki wygranej.

— Ach sir, masz rację! — odezwał się restaurator słodkawym głosem, — to samo da się powiedzieć o klaczach. Klacz chuda, wychudzona do ostateczności, weźmie zawsze najbardziej, spasioną, tylko trzeba ją umieć należycie pielęgnować.

— Temu przynajmniej dziesięciu funtów brak — wtrącił nieustępliwy żokiej.

— Tak, słusznie — odparł Wilson, — on posiada średnią wagę.

— Sto trzydzieści funtów — to cała jego średnia waga.

— Nie sto trzydzieści, lecz sto pięćdziesiąt

— I Mistrz waży nie wiele więcej.

— Mistrz waży sto siedemdziesiąt pięć funtów.

— Miał taką wagę, gdy znajdował się w lepszych warunkach, ale odrzucić Mistrzowi sadło — to będzie ważył nie wiele więcej niż ten. Prawdawno sprawdzał swą wagę, mister Monthomeri? — zapytał Wilson.

Było to pierwsze pytanie, z którym zwrócili się bezpośrednio do niego. Monthomeri stał po środku jak koń na jarmarku, nie wiedząc, czy ma się gniewać, czy śmiać.

— Posiadam wagi pełne 154 funtów<sup>1)</sup>, — odpowiedział.

— Wszak mówiłem, że on ma średnią wagę.

— A gdyby pana trenować, ile wówczas mógłbyś pan ważyć? — zapytał restaurator.

— Ćwiczę się zawsze.

No, ale trenowanie do trenowania nie podobne — wtrącił znowu swą uwagę żokiej, — zwyczajne trenowanie — to jedno, a niechno on się potrenuje z trenerem. Mister Wilson idę o zakład, mimo szacunku dla pańskiego zdania, że straci on wtedy na wadze najmniej 7 funtów.

Student z Cambridge dotknął palcami mięśni Monthomeri, drugą zaś ręką ujął jego kibić i nagiął szybko do mięśnia. Dwugłowy biceps naprężył się zaokrąglił i stwardniał, jak piłka do gry w krokiet.

— Proszę zobaczcie! — zawołał tryumfująco.

Restaurator i żokiej nacisnęli mięśnie z wyrazem niezwykłego uznania.

— Powabny chłopak! Z nim można zrobić interes! — przyznał Purwis.

— Panowie! — rzekł Monthomeri, — musicie mi przyznać, że byłem dotychczas uległy i cierpliwy. Słuchałem uważnie, kiedy mówiliście o mojej

---

<sup>1)</sup> 69,85 kg.



powierzchnowości, i milczałem. Teraz z kolei ja zapytam, prosząc o wyjaśnienie, co to wszystko znaczy?

Trzej sportsmeni siedli napowrót. Twarze ich były poważne, zajęte sprawą.

— O to łatwo, mister Monthomeri, — odrzekł restaurator Purwis, — musieliśmy nasamprzód obejrzeć pana dokładnie. Na cóż układy, jeśli nie zna się obiektu, nieprawdaż? Mister Wilson sądzi, że pan jetteś odpowiedni, lecz mister Fausett myśli inaczej, a on ma także prawa, jak mister Wilson. Jest on taksamo członkiem komitetu i bierze udział w wygranej.

— Ja dopatruję się w nim zbyt lekkiej wagi — rzekł żokiej, — i trwam nadal przy swoim zdaniu. Ale może być wypadek, że on sprawę zepsuje. Chłopiec zbudowany nieźle i tkwi w nim jakaś taka elastyczność. Jeżeli pan, mister Wilson, jesteście zdecydowany stawiać na niego..

— Postanowiłem to nieodwołalnie.

— A pan, panie Purwis?

— Ja też nie cofnę się, mister Fausett.

— Ha! w takim razie wycofuję swój udział.

— Wiedziałem, że pan postąpisz w ten sposób — rzekł Purwis, — poprostu niktby nie uwierzył przedtem, że Izaak Fausett popsuje towarzysstwo. Więc, wobec tego podzielimy sto funtów

między sobą... oczywiście, jeśli ten młody człowiek zgodzi się.

— Wybacz nam pan to zawracanie mu głowy mister Monthomeri—rzekł wesoło bogaty student,— myśmy zaczęli sprawę nie ze strony właściwej, no, ale to łatwo sprostować... Mam nadzieję, że pańskie życzenia nie różnią się od naszych. Po pierwsze: czy pamięta pan człowieka, którego pan powalił na ziemię — dzisiaj z rana? Panie to był Barton, znakomity nasz Ted Barton.

— I pana spotkał, prawdziwy zaszczyt, żeś go powalił za pierwszym razem — zauważył restaurator. — Pan zapewne słyszałeś o championie Morris'ie? Ten Morris waży 146 funtów, a jednak wytrzymał wszystkie siły zanim udało mu się złożyć Bartona do snu. Pan, sir, dokonałeś rzeczy znakomitej, ale teraz, gdybyś zechciał, możesz zrobić interes jeszcze lepszy.

— Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się słyszeć o Ted Bartonie, pierwszy raz dopiero nazwisko jego ujrzałem na recepcie, odrzekł Monthomeri.

— W takim razie zaufaj pan mojemu słowu. Barton jest poprostu zbójem, — wtrącił żokiej, — pan mu dał nauczkę, której on ogromnie potrzebował. Słowo jego było czynem, a jakie on słowa używał! Musiał nieraz z wyroku sądowego płacić



za każde słowo pięć szylingów. Teraz będzie miał nauczkę, aby z pięściami nie włązić każdemu w paradę. Ale odbieглиśmy od naszej sprawy.

Monthomeri spojrział zdumionym wyrazem oczu na gości.

— Na miłość boską, panowie — zawołał — powiedzcie mi nareszcie, o co wam chodzi?

— Chcemy pana prosić, abyś zgodził się stanąć do walki z siłaczem Kraghsem, który jest znany pod nazwiskiem Mistrza z Krocksley.

— Ale w jakim celu?

— Właśnie miał z nim walczyć w następną sobotę Ted Barton. Barton jest znanym championem i reprezentantem kopalni węgla Wilsona, Mistrz zaś działa w imieniu żelaznych zakładów w Krocksley. Myśmy wysuneli Bartona przeciwko Mistrzowi o zakład. Wygrana wyniesie sto funtów. Aleś pan naszego championa zeszpecił okropnie, w czaszce ma dziure na dwa cale. Czyż mógłby z taką głową walczyć! Jedynym wyjściem zamiana jego osoby na pańską. Jeżeliś pan powali Teda Bartona to może uda się panu to samo z Mistrzem z Krocksley. Gdybyś pan nam odmówił, to sprawa pańska przyjmie inny obrót. Warunki walki są następujące: dwadzieścia starć, rękawice o wadze dwu uncji, Kwinsberijskie przepisy

walki i wynik według punktów, gdyby walka miała się ciągnąć do końca.

Dziwaczność propozycji dotknęła studenta niemile, ale było to pierwsze wrażenie. Nagle opromieniła go myśl o stu funtach nagrody. Mój Boże! Sto tuntów! Wszak ta kwota, niezbędna do ukończenia studjów, leżała obecnie przed nim, dla niego przeznaczona — trzeba było tylko potrafić ją podjąć. Dziś jeszcze zrana rozmyślał gorzko o tem, że siła fizyczna jest towarem, o który nikt się nie ubiega na rynku życiowym, — aż oto takie zdarzenie!.. W ciągu godziny jego mięśnie zapracują tyle, ile w ciągu długiego roku nie mógłby zarobić mózg. Jednak tę radosną perspektywę przyszłości szybko przesłoniły mgły powątpiewania.

Czyż mogę być reprezentantem kopalni węgla, nie mając z nią nic wspólnego?—zapytał.

Ależ, chłopcze, przeciwnie!—zawołał Purwis,— myśmy zastrzegli sobie w umowie, że „każdy kto znajduje się w pewnych stosunkach z kopalnią węgla Wilsona“... Otóż doktor Oldakr jest lekarzem w klubie górniczym, pan zaś jest jego pomocnikiem. Czegóż tu, u licha, więcej potrzeba?

— Bądź pan przekonany, że pod tym względem wszystko w porządku, — przemówił student z Cambridge, — ach, jak to będzie cudownie, jeśli



pan, mister Monthomeri, zgodzisz się nam przyjść z pomocą! Wpadliśmy w taki dół, że niewiadomo, jak się wygrzebać. Być może, że ma pan pewne skrupuły co do walki za pieniądze, ale tę przeszkodę tak łatwo usunąć. Jeżeli pan zwycięży, to możemy oznaczyć panu pewną nagrodę, w postaci jakiejś kosztownej pamiątki. Postaramy się o coś takiego, co się panu podoba — złoty zegarek lub jakąkolwiek inną rzecz. Co pan sobie życzy, prosimy o wolny wybór. Z pańskiej winy straciliśmy championa i dlatego na pana spada obowiązek rozwiązania tej przykrej sytuacji.

— Panowie, pozwólcie mi zastanowić się na chwilę. Tak nagle to zaszło. Wątpię, czy doktor wyrazi swą zgodę... Ależ tak, on za nic na świecie nie zgodzi się — wiem o tem z góry,

— Skądże doktor będzie wiedział? Przed walką nie dowie się w każdym razie o niczem. Myśmy nie zobowiązaliśmy się do zdradzenia nazwiska naszego championa. Pańskie nazwisko będzie nieznanne do czasu walki t. j. do chwili, kiedy przynajmniej wadze nie zawiadomią go o pojedynku.

Niezwykła propozycja i związana z nią korzyść materialna, trafiły do przekonania Monthomeri, więc dłużej nie mógł się opierać.

— Zgoda, panowie! — oznajmił.

Wszyscy trzej skoczyli na równe nogi. Restaurator chwycił go za prawą rękę, żokiej za lewą, a student zaczął go trzepać po plecach.

— Porządny chłopiec! Porządny chłopiec! — powtarzał restaurator. — Tak, kochany panie, jeżeli uda ci się utracić Mistrza, karierę masz zapewnioną. Nie będziesz zwyczajnym doktorem, lecz człowiekiem znanym powszechnie na całą dzielnicę aż do Bradfordu. Och ty, smyku zatracony! Jakbym widział twoje szczęście. Posłuchaj chłopcze, za porządne pobicie Mistrza z Kocksley, masz zapewnione na całe życie gratisowe piwo pod „Czterema workami“, — pamiętaj o tem.

— Tak, będziemy mieli niezwykle interesujące widowisko sportowe — rzekł młody Wilson — przysięgam na Jerzego, sir, że jeśli pan zwyciężysz, to możesz brać udział w wyborach do parlamentu z naszego obwodu. Powodzenie pańskie będzie zagwarantowane. Pan zna zapewne altanę w moim ogrodzie?

— Tę przy drodze?

— Tak. Właśnie tę altanę przekształciłem na gimnastyczną salę dla Bartona. Otóż pan znajdzie tam wszystko, czego potrzeba: drążki, kule, kółka, sztangi i tym podobne rzeczy. Ponadto potrzebuje pan partnera do trenowania się. Barton miał Ohylwiego, ale ten dla pana jest nieodpowiedni.



Barton nie gniewa się na pana. Właściwie mówiąc, to chłopisko poczciwe; lubi tylko zaczepiać nieznajomych. Do dzisiejszego rana byłeś pan dla niego nieznajomym, a teraz jest on zdania, że poznaliście się panowie doskonale. On z największą przyjemnością przyjmie pana na praktykę. Stawi się zawsze o oznaczonej przez pana godzinie.

— Dziękuję panom, — odrzekł Monthomeri i — „komitet trzech“ zadowolony i uradowany opuścił aptekę.

Monthomeri przesiedział w aptece kilkanaście minut, rozmyślając o położeniu, w jakim się znalazł. Uczył go boksowania w uniwersytecie pewien jegomość, którego swego czasu, zaliczano do championów średniej wagi. Nauczyciel ten prężył się, mając osłabione nogi i członki ciała nie dość elastyczne. Mimo to jednak, był on w wielu razach niebezpiecznym przeciwnikiem. W rezultacie Robert doszedł do takiej wprawy, że zaczął przewyższać nauczyciela. Nawet na zapasach uniwersyteckich otrzymał medal, a kierownik nie znajdował słów na pochwały. Twierdził przytem, że nigdy nie miał tak zdolnego ucznia i radził stanowczo, aby Monthomeri, poświęcił się sztuce bokserkiej, jako amator. Lecz Robert nie czuł najmniejszej chęci do zbierania wawrzynów na tym polu i nie poszedł za radą swego nauczyciela.

Raz tylko stanął do walki z Hamper Tonsallem w jakiejś budzie jarmarcznej i wytrzymał trzy starcia. Prawda, Tonstall wyprawił mu porządną łaźnię, w każdym jednak razie Monthomeri zmusił przeciwnika do naprężenia wszystkich sił. Oto cała jego bokserska karjera. A teraz kwesja, czy takie tylko doświadczenie wystarczy, aby nie ustąpić Mistrzowi z Krockesley? Nigdy przedtem nie słyszał o Mistrzu. Ostatnie lata upłynęły na troskach i ciężkiej pracy, musiał więc sport zupełnie zarzucić. Ale to wszystko głupstwo. Chodzi teraz o zwycięstwo i o pieniądze, których mu tak bardzo brak. Właściwie, cóż by go spotkało, w razie przegranej, oprócz kilkunastu przyzwoitych sińców? Na sińce zgadzał się zawczasu, a szczęścia czy tak czy owak musi spróbować! Gdyby nawet do wygranej, posiadał jedną szansę na sto to i w tym wypadku próba jest niezbędną.

Rozmyślania młodzieńca przerwał doktor Oldakr, który przed chwilą wrócił z kościoła, trzymając w gładko obciążonych rękawiczkach olbrzymią książkę do nabożeństwa.

— Od pewnego czasu dało mi się zauważyć, mister Monthomeri, — odezwał się chłodno — że pan zupełnie nie uczęszcza do kościoła.

— Istotnie, sir, byłem zajęty bardzo.



— A ja, sir, życzyłbym sobie, aby wszyscy moi domownicy bywali na nabożeństwie. Myśmy, jako ludzie wykształceni, powinni świecić przykładem prostaczkom. Jeżeli nie utrzymamy swej godności na należnym — że tak powiem — szczeblu, to jakież będziemy mieli prawo wymagać uczciwego prowadzenia się od tych godnych pożałowania robotników? O, to niewdzięczny gruboskóry lud! Wyobraź pan sobie, tutejsi parafjanie bardziej zajmują się zapowiedzianą walką na pięści, aniżeli sprawami religijnymi.

— Walką na pięści, sir? — podchwycił Monthermeri pokornym głosem.

— Tak, jeśli się nie mylę, to ma być coś w tym rodzaju. Jeden z mych pacjentów powiadomił mnie, że tylko o tym rozповідаją w całej dzielnicy. Pewien miejscowy gbur, mówiąc nawiasem, nasz pacjent wystąpi do walki na pięści z zapaśnikiem z Krocksley. Zupełnie nie pojmuję, jak może państwo pozwolić na takie nieprzyzwoite widowiska? Przecież to walka o nagrodę.

— Należy jednak przypuszczać, że zapaśnicy wystąpią w rękawicach.

— Tak, ale, jak mnie poinformowano, te rękawice o wadze dwóch uncji — to tylko sprytny wybieg, obmyślony dla pominięcia prawa. Dzięki tym rękawicom policja nie może się wtrą-

cię do sprawy. Walka idzie o zakład i zwycięzca otrzyma pewną kwotę pieniędzy. To okropne i nie do uwierzenia! Wyobraź pan sobie, że te bezeceństwa rozgrywać się będą zaledwie w odległości kilku mil od miejsca naszego zamieszkania. Pojmujesz pan, mister Monthomeri, jak zgubne są wpływy! My powinniśmy dołożyć wszelkich starań, ażeby utrzymać się na należytej wyżynie.

Kazanie doktora wywołałoby zupełnie inny wpływ na Monthomeri, gdyby ten nie wiedział z doświadczenia, jaką wartość posiada „wyżyna“ doktora Oldakra. Biorąc ogólnie, student miał zbyt niepoehlebne zdanie o moralnych zaletach swego przełożonego. Pojmował doskonale zachwycanie się atletycznym sportem i rozumiał powody, dla których zapaśnicy cieszą się wśród swoich zwolenników czemś w rodzaju ubóstwiania. Sumienie miał zupełnie spokojne pod tym względem, że zgodził się na walkę z Mistrzem z Krocksley, bowiem wytrzymałość i męstwo są w każdym wypadku cnotami, nie zaś wadą, a wszak lepiej być nawet gburem, niż zniewieściałym żonkosiem.

Na rogu ulicy był maleńki sklepik. Monthomeri kupował tam często tytoń i wchodził w pogawędkę z właścicielem, wielkim gadułą, który



znał wszystkich i wszystko w okolicy. To też zaraz po herbacie Robert udał się tam i w rozmowie ze sklepikarzem zapytał mimochodem, czy słyszał on kiedykolwiek o Mistrzu z Krocksley.

— Czy słyszałem o Mistrzu?! — zakrzyknął zdumiony ogromnie mały handlowiec.—Na miłość Boską, któżby o nim nie słyszał? to wybitna osobistość w całej dzielnicy, nazwisko jego jest tak samo znane, jak nazwisko zwycięscy na Derby.

Sklepikarz zamilkł na chwilę i zaczął grzebać się w stercie starych gazet.

— Teraz o mistrzu mówi się dużo,—rzekł,—z tego powodu, że ma on pojedynek z Tedem Bartonem. Z tej okazji „Krocksley Kurjer“ wydrukował jego życiorys. Weź pan, tę gazetę i przeczytaj sobie.

Zyciorys atlety zajmował całą kolumnę, pośrodku zaś była zamieszczona jego podobizna. Zdjęta była tylko głowa i ramiona. Twarz Mistrza była zła, lecz męska i świadczyła o sile. Twarz ta starannie wygolona o gęstych brwiach, przenikliwych oczach, okrutnych i potężnych szczękach i zwierzęcem spasionym podbródkiem namionowała człowieka zdeprawowanego. Kości policzkowe miał tak grube i uporczywie wystające, że zasłaniały mu prawie oczy wazkie, złowrogie.

Szyja jego zaczynała się bezpośrednio od uszu, ramiona były szerokie i kościste.

U góry widniał napis: „Siła Kraghs“, u dołu: „Mistrz z Krocksley“.

— Stąd dowie się pan wszystkiego—mówił tymczasem właściciel tabacznego sklepu. O, Mistrz to pies potężny, to nasza chluba w całym hrabstwie. Gdyby nie wypadek, że złamał nogę, byłby championem Anglii.

— Jak on ma złamaną nogę?

— Ha, noga mu się nie zrosła, jak potrzeba i stąd przewali go pokraką. Naturalnie, przezywają go za oczami... Ale zato ręce... Mistrza ręce są podobne, jakby tu powiedzieć, do młotów.

Monthomeri wsunął gazetę do kieszeni i poszedł do domu.

Nie pocieszyła go biografia współzawodnika, którą przeczytał skwapliwie w chwili wolnej. Jak opiewał artykuł, Mistrz z Krocksley był prawie zawsze zwycięzcą; doznawał porażki bardzo rzadko.

„Siła Kraghs urodził się w 1857 roku“ — pisał autor artykułu — znany pod nazwiskiem Mistrza z Krocksley, i obecnie liczy sobie trzydzieści dziewięć lat“.

— Doskonale, ja mam dwadzieścia trzy lata, więc to moja przewaga — pomyślał Monthomeri i zaczął czytać dalej.



„Już za młodu Siła Kraghs zdradzał niepospolitą skłonność do walki na pięści i z powodzeniem bił się ze szkolnymi kolegami. W rezultacie uznano go w dzielnicy za championa, który to tytuł utrzymał przy sobie i podniósł go do godności. Ale, będąc ambitnym, dążył do rozgłosu w sferach bardziej szerokich. Pierwszą walkę Siła Kraghs odbył z Jack Bastonem z Birmingham w maju 1880 roku w lokalu klubu „Starych Włóczęgów“. Kraghs, ważąc wtedy 142 funty, w piętnastu starciach z przeciwnikiem uznany został za zwycięzcę i otrzymał nagrodę. Zwyciężył również Jamesa Danna z Roserchit, Kametona z Glasgow i młodego człowieka nazwiskiem Ferni, poczem już powołał do walki ze sobą Ernesta Willoha, który w tym czasie uchodził za championa o średniej wadze, północnej Anglii. Walka, była niezwykle trudna i uporczywa, lecz Siła Kraghs powalił przeciwnika już w dziesiątym starciu. Ta walka rozpoczęła w życiu championa najwspanialszy okres; Kraghsowi wrócono wielką przyszłość, ale nieszczęśliwy wypadek zdarzył, że dalsza jego karjera została zwichnięta. Spadłszy z konia, Siła Kraghs złamał biodro i musiał cały rok leżeć w łóżku. Złe zrośnięcie się nogi spowodowało zgubne skutki w ciągu jego następnych sukcesów. Pokonany poprzednio Willoh, rewan-

żując się, utracił go w siódmym starciu, a porażka ta wynikła jedynie ze słabości zepsutej nogi. W podobny sposób odniósł zwycięstwo nad Kraghsem i James Shaw z Londynu, chociaż ten przyznał później, że nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się zwyciężyć z taką trudnością. Mistrz z Krockesley jednak nie poddał się po tych niepowodzeniach rozpacz, przeciwnie, wyrobił sobie nową metodę walki, której zastosowanie neutralizowało zgubny wpływ ułomności fizycznej na całokształt starcia. Rozpoczęła się serja nowych zwycięstw i oto Siła Kraghs pokonał negra Nortona, Bobbi Wilsona i Lewi Kogana, który uchodził za championa ciężkiej wagi. Założywszy się przedtem o dwadzieścia ośm funtów, stłukł na miazgę znakomitego Bigli Mik-Kwajra i zwyciężył o zakład 50 funtów Sama Hira z Pelikan-Klub w Londynie. W 1891 r. walczył z Girnem Taylorok, australijskim championem średniej wagi i pokonał go. Jednak jury uznało, że zwycięstwo było osiągnięte za pomocą niedopuszczalnych środków. To rozstrzygnięcie jury tak dotknęło boleśnie Siłę Kraghsa, że poświęcił się on wyłącznie prywatnemu życiu. Odtąd nie spotykamy go prawie w żadnej walce, a jeżeli kiedy występuje, to tylko dla dogodzenia miejscowym amatorom sportu, którzy pragną przekonać się o różnicy



pomiędzy bitwą dyletancką a walką naukową. Ostatnio jeden z takich zjawił się w kopalni Wilsona. Kopalnia stawia na swego championa sto funtów. Kim będzie ten, kto odważy się na walkę z Siłą Kraghsem — nie wiadomo, ale krążące pogłoski wymieniają nazwisko Teda Bartona. Publiczność po stronie Mistrza i championa z Wilsonowskiej kopalni stawia jeden na ośm. Wobec tego nie trudno odgadnąć, jaki będzie przebieg zapasów. Tak więc do walki z Mistrzem z Krock-sley występuje zwykły śmiertelnik. O, ironjo!

Monthomeri przeczytał ten artykuł dwa razy. Twarz miał bardzo poważną, bo podjął się sprawy nie tak łatwej, jak mu się zdawało. Musiał walczyć nie z miejscową znakomitością, rozdmuchaną przez popędliwe i nieumiarkowane pochwały, ale z człowiekiem o nazwisku pierwszorzędnego szermierza. Przynajmniej takie wrażenie sprawił życiorys Siły Kraghsa. Prawda, jakie takie dane posiada i on, Monthomeri, które przemawiają na jego korzyść, i z tych danych trzeba naturalnie wyciągnąć korzyści. Przedewszystkiem wiek — on jest młodszy od Mistrza z Krock-sley o siedemnaście lat. Stare przysłowie atletów mówi, że „młodym sam Bóg pomaga“, choć to prawidło, niestety, ma dużo wyjątków. Stary weteran posiada męskość, krew zimną i jest ostrożny. Przytem

zna wszystkie wybiegi i sposoby i z łatwością zada cios pierwszemu lepszemu młodzieniaszkowi. Wobec tego nie tak znów bezwzględnie można polegać na młodym wieku.

Ale, oprócz tego, Mistrz utyka na jedną nogę, a to nadzwyczaj ważna okoliczność. Przytem jest nadzieja, że on zbyt lekceważąco potraktuje swego niedoświadczonego przeciwnika i w rachubie pomyli się. Być może, że nie nadaje się on do walki zupełnie, przekonany z góry o swem zwycięstwie, a to też szczegół dodatni. O, jakżeby pragnął Monthomeri, aby te jego przypuszczenia były prawdziwe! Chociaż, jakikolwiek będzie przeciwnik, nie ulega wątpliwości, że trzeba same-mu wziąć się do rzeczy. Obowiązkiem jego jest przygotować się do walki w sposób najbardziej staranny, nic nie pominąć, co może być korzystne, i dołożyć wszelkich możliwych sił, aby zwycięstwo było zapewnione. Monthomeri wiedział doskonale, że pomiędzy dyletantyzmem a sztuką prawdziwą leży otchłań. Spokój, pewność uderzenia i inne zalety zawodowe, osiągnane za pomocą jedynie dłuższej praktyki, posiadają olbrzymie znaczenie. Za tydzień trzeba ćwiczyć się, jeżeli to możliwe...

Bądź, co bądź, student posiadał jakie takie początki. Wzrost jego wynosił pięć stóp i jednaście cali — miara — jak powiadają starzy



sportsmeni — zupełnie wystarczająca dla dwunogiego zwierzęcia. Był elastyczny i szczupły, zwinny jak pantera, i silny w stopniu zupełnie dostatecznym. Muskulaturę miał rozwiniętą bardzo dobrze, ale głównie źródło jego mocy tkwiło w sile nerwów, która znowu dla sportsmenów nie posiada żadnej wartości.

Monthomeri był zresztą młodzieńcem przystojnym. Twarz jego zdobił nos orli trochę zakrzywiony i szeroko otwarte duże oczy, a wszak takie oczy nie charakteryzują tchórzów.

Wszelako zdawał sobie wyraźnie sprawę, że cała jego karjera zależeć będzie od przebiegu walki i jej wyników.

Kiedy nazajutrz zrana zacząć ćwiczył się żelaznymi ciężarami w ogrodzie Wilsona, trzech sportsmeni zacierali ręce z radości.

Żokiej Fausett, który w liście wysłanym do Lieds wycofywał swą stawkę, teraz telegraficznie odwołał nakaz i dodał do stawki jeszcze 50 funtów za cenę 7 w stosunku do jednego.

Najpoważniejszym kłopotem Monthomeri, było to, aby trenowaniem się nie wzbudzić podejrzeń doktora. Pracować musiał dużo. Wiele czasu zabierały mu wizyty u chorych, które trzeba było odbywać pieszo. Zresztą chodzenie to zastępowało mu trenowanie. Resztę czasu poświęcał na

ćwiczenia żelaznymi kulami. Oprócz tego, zrana i wieczorem używał ciężary, przytem dwa razy dziennie boksował się w ogrodzie Wilsona z Tedem Bartonem. Barton był niezłym bokserem; zachwycał się zwinnością i ruchliwością Monthomeri, ale powątpiewał o jego sile. Dla Bartona istniały tylko mocne uderzenia i wymagał tego od innych.

— Eh, co to za patyczek? — mruzczał dobrodusznie, — człowiek, który waży 154 funty, nie zauważy takiego patyczka. Bij, bracie, mocniej, bo mistrz nie spostrzeże, że z tobą walczy.

A kiedy Monthomeri zapędzał go przez całą salę do kąta, Barton mówił z zadowoleniem:

— To lepsze, chłopczyku, to dobre! Teraz poczułem twoje pięści. Widzisz go, teraz da radę Mistrzowi!

Pewnego razu Monthomeri cisnął go ze wszystkich sił o ścianę. Barton nawet zachichotał z zadowolenia.

— Jak Boga kocham — powiedział, — czynasz mój chłopcze, naprawdę działać. Omal mnie nie przewrócił. No, dalej! Daj mu jeszcze raz! a porządnie, porządnie!

Doktor nic nie podejrzewał. Jedynie zwrócił uwagę na to, że Monthomeri zaczął zachowywać djęte. Ta okoliczność zdumiewała go ogromnie.



— Daruje pan, mister Monthomeri, — rzekł pewnego razu doktor; — ale zdaje mi się, że pan stał się zbyt wybrednym. W stosunku do młodych ludzi nie można popierać podobnych kaprysów. Proszę mi powiedzieć, dlaczego pan, naprzykład, jada przyrumieniony chleb do każdego dania?

— Przyrumieniony chleb smakuje mi bardziej, niż zwyczajny, sir.

— A z tego powodu obciąża pan kucharkę zbyt ciężką pracą. Również zauważyłem że pan nie jada kartofli.

— Tak, sir, kartofle nie smakują mi już.

— Jednak, o ile mi wiadomo, i piwa pan nie pije.

— Nie piję, sir.

Doktor pokręcił głową i powiedział tonem dydaktycznym:

— Te kaprysy i fantazje zasługują na dowolne sądy, mister Monthomeri. Pomyśl pan, ilu jest ludzi, dla których to samo piwo i te same kartofle byłyby nieocenionem na świecie dobrodziejstwem.

— Nie wątpię, sir, lecz wolę obejść się bez tych smakołyków.

Rozmowa toczyła się przy śniadaniu. Doktor i jego pomocnik znajdowali się sami, więc

Monthomeri przyszła do głowy myśl, że jest to nadarzająca się sposobność, aby poprosić o urlop na dzień walki.

— Byłbym panu, doktorze, bardzo wdzięczny — przemówił, — gdyby pan mnie zwolnił na sobotę.

— Mamy w sobotę zwykle dużo pracy; to niemożliwe.

— Ja wykonam w piątek podwójną pracę; wszystko będzie w porządku. Wieczorem wrócę do domu.

— Wszakże obawiam się, czy będę mógł zwolnić pana, mister Monthomeri.

„Masz ci los! — pomyślał student, — gdyby mnie nie zwolnił, to trzeba będzie pójść bez zezwolenia“.

Natomiast głośno powiedział:

Panie doktorze, przy przyjęciu mnie do służby stanęła między nami umowa, że będę otrzymywał jeden dzień wolny w ciągu miesiąca. Z tego prawa jeszcze nie korzystałem. Obecnie mam ważne powody i nieodzownie muszę być zwolnionym na sobotę.

— Zapewnie, mister Monthomeri, niema o czem mówić, jeżeli pan opiera się na formalnych swych prawach. Ale mam wrażenie, że ta pańska natarczywość dowodzi ze strony pana



obojętnego traktowania moich interesów i dobra sprawy. Czy pan nadal trwa przy swoim?

— Tak, sir.

— Bardzo dobrze. W takim razie jesteś pan wolny.

Doktór aż wrzał cały z oburzenia. Ogromnie chciał wymówić miejsce temu młodzieńcowi, ale potem zaniechał tę myśl. Monthomeri jako jego pomocnik miał nieocenioną wartość: był pilny, zdolny, pracowity. Dlatego Oldakr nie chciał pozbywać się go. Wszak odmowa udzielenia mu pożyczki wynikała stąd, że w jego interesie leżało, aby ten zdolny młody pracownik nie kończył uniwersytetu. Była to ogromna wyгода i korzyść trzymać jako podwładnego człowieka, który pracuje dużo i tanio. Gniew doktora przeszedł szybko w ciekawość. Zainteresowało go to, dlaczego Monthomeri żądał urlopu na dobę z taką uporczywością.

— Rzecz prosta, nie chcę wtrącać się w pańskie sprawy, mister Monthomeri, jednak chciałbym wiedzieć, czy nie zamierza pan spędzić soboty w Lieds?

— Nie, sir.

— W takim razie, zabawi pan w okolicach?

— Tak jest, sir.

— Bardzo rozumnie pan postępuje. Spędzi

pan wolny dzień wśród polnych kwiatów. Podobne spędzanie czasu odnawia ludzkiego ducha. Dokąd mianowicie zamierza pan pójść?

— Skieruję się w stronę Krockasley.

— Bardzo dobrze. Przepiękna miejscowość zaczyna się za wielką fabryką żelazną. Cóż może być bardziej zachwycającego, jak odpoczynek nad brzegiem rzeki w kąpielni promieni słonecznych z jakąkolwiek naukową książką w ręku, która podnosi i doskonali ducha! Ja radziłbym panu zwiedzić ruiny kościoła świętej Brigidy. To bardzo zajmująca pamiątka z epoki Normandzkiej. Właściwie, mnie się zdaje, że sobota jest dniem nie dość odpowiednim do Krockasley. Zakomunikowano mi, że w tym dniu wyznaczono tam walkę na pięści. Niegodziwcy, którzy napłyną ze wszęch stron, aby patrzeć na to haniebne widowisko, mogą pana obrazić.

— Dziękuję panu, sir, za ostrzeżenie — odrzekł student, — skorzystam z niego skwapliwie.

W przeddzień walki Wilson, Fausett i Purwis zebrali się w ogromnej altanie Wilsona na oględziny swego młodego championa. Okazało się, że mięśnie miał cudowne. Z postaci jego tryskało zdrowie i siła. W oczach paliła mu się energja i pewność siebie. Sportsmenów ogarnął zachwył.



— On jest wprost wspaniały! — zakrzyknął Wilson. — Na Boga, Monthomeri, pan jesteś doskonale przygotowany! Masz pan zdrowie, jak krzemień, i będziesz się bił doskonale.

— Co tam warta jego piękność! — mruzczał sceptyczny restaurator, — boki ma słabe, tak mi się zdaje.

— A waga obecnie jaka?

Sto pięćdziesiąt jeden funtów—odpowiedział Monthomeri.

— Po tygodniu trenowania zalednie trzy funty mu ubyło, — z zadowoleniem zauważył żokiej.— Miał zatem rację, twierdząc wtedy, że wywiąże się z zadania należycie.

Tak, zapewne, materiał posiada, dobry materiał, ale czy wystarczający, o to chodzi.

I Fausett w zamyśleniu jął naciskać palcem ciało Monthomeri, jakgdyby miał do czynienia nie z człowiekiem, lecz z koniem!

Poczem, zwracając się do Purwisa, rzekł:

— A otóż mówiono mi wczoraj, że Mistrz nawet po trenowaniu waży sto sześćdziesiąt funtów.

— To prawda, ale chodzi o to, że Mistrz nie trenuje się. Mówią, że od piwa nie da się oderwać. Moznaby go poprostu upić, gdyby nie ta ruda dziewczyna, która z nim jeździ. Podobno wczo-

raj podrapała cały pysk jakiemuś robotnikowi, który chciał Mistrza uraczyć piwem od Chackersa. Wiesz o tem, że dziewczyna ta jest kochanką Mistrza i współdziała z nim we wszystkich jego sprawach. Prawowita żona Mistrza wyplakała już oczy przez tą rudą szelmę. Hej, malcze, czegoś ty chciał?

Drzwi altany uchyliły się i na progu stanął szesnastoletni chłopiec, brudny i czarny, z twarzą pokrytą sadzami. Ted Barton chwycił chłopaka za kołnierz.

— Po coś tu wlaź, szczeniaku? Tu obcych nie puszca się. Szpiegów tutaj nie potrzebujemy — zawołał groźnie.

— Chciałbym zobaczyć się z mister Wilsonem — oznajmił chłopiec.

Bogaty student wysunął się naprzód.

— Jestem, chłopcze. O cóż chodzi?

— Przyszedłem w sprawie walki, mister Wilson. Chciałem panu coś powiedzieć o Mistrzu.

— Chłopcze, my nie mamy czasu na plotki. Wiemy wszystko o Mistrzu.

— Właśnie, nie wiecie; nikt, oprócz mnie i matki mojej nie wie o tem. Otóż postanowiliśmy z matką opowiedzieć o tem pańskiemu siłaczowi; ogromnie pragniemy, sir, aby pański zapaśnik dał w skórę Mistrzowi, jak należy.



— Ty chcesz, aby Mistrz dostał w skórę porządnie? Bardzo dobrze. I my żywimy takie same chęci. Więc cóż nam chciałeś powiedzieć?

— A który to pański bokser? Czy ten oto? — zapytał chłopiec, wskazując Montheri.

— No, przypuśćmy, że ten.

— Więc ja mu powiem. Mistrz jest ślepy na lewe oko.

— Głupstwo!

— Nie, nie głupstwo; chociaż on nie jest zupełnie ślepy, ale bardzo źle widzi. Mistrz trzyma tę swoją ślepotę w tajemnicy, ale my z matką o tem wiemy. Jeżeli ty, panie bokser, podejdziesz go z lewej strony, a przytem dobrze gwizdniesz, to nie będzie on miał nic do roboty. Więc spróbuj tylko, a przekonasz się, że nie kłamie. A miej się na ostrożności najbardziej wtedy, gdy Mistrz opuści prawą rękę. Wtedy szykuje się on do uderzenia z góry; to jego ulubione uderzenie. W fabryce opowiadają wszyscy, że tym uderzeniem rozstrzyga walkę. Strzeż się pan, panie bokser, jeżeli on pana w ten sposób uraczy.

— Dziękuję ci, chłopcze, — rzekł Wilson — twoje wiadomości są cenne, ale jak się o tem dowiedziałeś? Ktoś ty taki?

— Jestem synem Mistrza, sir.

Wilson aż gwizdnął ze zdziwienia.

— Któż cię do nas przysłał?

— Matka. A teraz idę do niej.

— Masz, weź tę pół korony.

— Dziękuję, pieniądze mi są nie potrzebne.

Ja nie dla pieniędzy to robię..

— Z miłości — wtrącił restaurator Purwis.

— Z nienawiści — krzyknął chłopiec, niknąc w ciemnościach nocy.

Restaurator pokiwał głową i oznajmił:

— Sprawa ma się tak, że ruda szelma więcej szkodzi Mistrzowi, niż przynosi korzyści. Ale, mister Monthomeri, na dzisiaj dosyć. Dziewięćgodzinny sen przed walką — to najlepsze trenowanie. Daj Boże, abyś jutro o tej porze wrócił tutaj pomyślnie i z setką funtów w kieszeni.

## II.

W szychtach i kopalnianych zakładach przerwano pracę o pierwszej w południe. Walka była zapowiedziana na trzecią. Ludność poruszyła się wszędzie zarówno w kopalni Wilsona, jak i w żelaznej fabryce w Krockesley, w fabryce Dodda, w kopalni Hertsizi oraz w browarze Lewerworta. Robotnicy dążyli zewsząd tłumnie na miejsce walki. Wielu z nich szło w towarzystwie foksterjerów i jamników. Utrzymywanie psów leżało w zwyczaju miejscowej ludności.



Biedni ci ludzie, wymęczeni pracą, pędzący życie swe w złych warunkach, bez jakiegokolwiek nadziei na lepszą przyszłość, nie odmawiali sobie bądźco bądź w życiu i pragnęli wszelkimi sposobami rozkoszować się niem w zakresie możliwości. Sport, jako jedyna namiętność odrywała ich od mrocznej, pozbawionej uroku rzeczywistości, unosiła ich ponad poziom tego czarnego, zaczarowanego koła, w którym sążone mieli męczyć się aż do śmierci.

Literatura, sztuka, nauka — to rzeczy, które są niedostępne dla człowieka, pochłoniętego przez nadmierną pracę fizyczną. Inna sprawa, gdy mowa o wyścigach pieszych i konnych, o grze w football, o krokiecie, o walce na pięści. Tego rodzaju rozrywki dostępne są dla każdego, one właśnie wypełniają codzienne życie, wzbudzają nowe zainteresowanie, nie mające nic wspólnego z prozą ekonomicznego niewolnictwa.

Zamiłowanie do sportu odgrywa niezmiernie doniosłą rolę w życiu Anglików. Czasem wyradza się ono w ordynarność, czasem wydaje się śmieszne, ale to głupstwo. Chodzi mianowicie o to, że sport upiększa posępną rzeczywistość. Ponadto sport posiada ogromne znaczenie patriotyczne. Dzięki temu, wyrobiliśmy się na plemię silne, które odcisnęło swoje znamię na całym świecie.

Patrząc na tych ogorzałych o surowym wyrazie twarzy pracowników, dążących na widowisko walki, dusza doznaje przyjemnego uczucia. Zaprawdę, byli to prawdziwi, silni i niezłomni brytańscy.

W tym dniu majowym pogoda niedopisywała: naprzemian świeciło słońce i lał deszcz jak z cebra. Cały ranek spędził Monthomeri w aptece na przygotowywaniu lekarstw.

— Mamy dziś kiepską pogodę — zauważył doktor — przypuszczam, że postąpił by pan rozumnie, odłożywszy swą wycieczkę do okolic na później.

— Nie, sir, pójdę dzisiaj.

— Zaledwie przed chwilą otrzymałem list od mistress Potter — ciągnął doktor — która wzywa mnie do siebie, a to bardzo daleko, z tamtej strony Engltonu. Prawdopodobnie zejdzie mi u mistress Potter cały dzień. Więc cóż z tego wyniknie? Ani mnie, ani pana nie będzie w aptece. Musi się pan zgodzić, że to niemożliwe.

— Proszę mi wybaczyć, sir, ale ja muszę pójść, — odrzekł stanowczo Monthomeri.

Widząc, że spór w danym wypadku nie odniósłby żadnego skutku, doktor zamilkł i po pewnym czasie odjechał do mistress Potter w najlepszym stanie ducha. Po jego wyjściu Monthomeri



poczuł, że ręce ma rozwiązane. Natychmiast wyszedł do swego pokoju i zapakował do walizki swoje sportowe ubranie. Gdy wrócił do apteki, czekał już na niego Wilson.

— Słyszałem, że pański doktor wyjechał.

— Tak, i ma spędzić w Engltonie cały dzień.

— Jednak to nie przynosi panu ulgi. Zresztą do wieczora dowie się o tem, że pan walczył z Mistrzem.

— Istotnie, mister Wilson, przyznam się, że cała ta afera ogromnie mnie niepokoi. Dobrze będzie, jeżeli zwyciężę. Wówczas otrzymam sto funtów i sytuacja moja znacznie się poprawi. Ale wyobraź pan sobie, że przegram, wtedy wszystkie moje zamiary pójdą na marne. Stracę nawet i ten zarobek. Wszak sam pan przyzna, że przed doktorem ukryć tego nie można.

— Ech, nie myśl pan o tem. Obmyślimy wszystko i postaramy się o to, aby panu źle nie było. Jedyne zastanawia mnie fakt, że dotychczas doktor nie wie o niczem. Wszak obecnie wszędzie, bezwzględnie wszędzie, mówią o pańskiej walce z championem z Krockesley. Mówiliśmy już Ermitedżowi, że pan występuje do walki z Mistrzem. Ten Ermitedż postawił na Mistrza znaczną kwotę. On nawet zakwestjonował pańskie prawo do walki w charakterze naszego champio-

na, z tego względu, że nie należy pan do gminy. Wywiązał się spór, który został rozstrzygnięty przez samego Mistrza. Mistrz oznajmił, że chce z panem walczyć bez względu na to, czy ma pan prawo, czy nie. Ermitedź wyraził zgodę, ale ja zażądałem zgody na piśmie. Wie pan, nie mam zaufania do tego jegomościa. On mógłby w ostatniej chwili, żałując pieniędzy, cofnąć się i nie zapłacić. Po długich targach dał mi wreszcie to zobowiązanie, więc jestem spokojny... Wiesz pan, panie Monthomeri, tam, w Krocksley, liczą na łatwe zwycięstwo. Przypuszczają, że pan nie może ścierać się z Mistrzem.

— No cóż, zrobię wszystko, co odemnie będzie zależało, — odrzekł Monthomeri.

Śniadanie spożyli młodzi ludzie razem. Była to chwila milcząca i uroczysta. Obadwaj mieli nerwy podniecone. Monthomeri myślał o mającej nastąpić walce. Wilson zaś, który stawiał na niego, championa, znaczną kwotę pieniężną, lękał się, aby nie stracić tych pieniędzy.

Przed gankiem oczekiwał na nich już parokony powóz. Konie miały przystrojone uszy w biało-błękitne kokardy. Był to kolor Wilsonowskich kopalni węgla, znany dobrze wśród miejscowych sportsmenów. Powóz szybko pomknął aleją. Przed bramami ustawili się robotnicy i ich żony.



Ten tłum, złożony z kilkuset osób, powitał swego championa grzotem oklasków i okrzykami: „niech żyje!” Monthomeri doznał niezwykłego wzruszenia i wydało mu się, że śni. Siedział, przechylony w tył i rozglądał się dokoła. Z okien i drzwi robotniczych domków powiewały białe chusteczki. To górnicy witali swego szermierza.

Że nie kto inny, ale Monthomeri występował jako champion, było aż nadto widoczne, bowiem Wilson przypiął mu do boku białobłękitną kokardę.

— Życzymy ci powodzenia! powodzenia! powodzenia! — krzyczeli robotnicy.

Monthomeri miał wrażenie, że znajduje się w położeniu wcale nie romantycznego rycerza, który dąży na pospolity turniej. Chociaż, mimo dość prozaicznych okoliczności, dało się odczuć pierwiastek rycerski. Trzeba wychodzić z tego założenia, że on, Monthomeri, walczy nie tylko o siebie, ale i o innych. A męstwo? Mógłby być zwyciężony z powodu braku siły i zwinności. Ale przegrać z braku męstwa?! O, za nic! Monthomeri poprzysiągł sobie w duchu, że zachowa męstwo do końca.

W drodze wyminęli Fausetta, jadącego amerykańkanem. Ujrawszy ich żokiej wstał, strzelił z długiego bata na znak powitania i napowrót rzucił

się na siedzenie. Nieco dalej wyminęli znów restauratora Purwisa, który miał twarz czerwoną, jak marynowany pomidor. Przy nim raczyła siedzieć jego żona, wystrojona odświętnie. Powozów spotykali coraz więcej i coraz więcej, aż wreszcie, gdy przebyli siedem mil drogą, wiodącą do Krockesley, powóz Wilsona, upiękuszony białobłękitnymi kokardami, przeistoczył się w swego rodzaju kometę, za którą wydłużał się i ciągnął wspaniały, błyszczący ogon. Na wielką drogę wyjeżdżały zewsząd wozy górników, małe szarabany i powozy innego gatunku, przepelnione po brzegi wesóło gwarzącymi ludźmi, spieszącymi do Krockesley. Procesja ta zajęła przynajmniej ćwierć kilometra. Turkot kół, trzask biczów, tupot końskich kopyt, krzyki, wymysły — wszystko to jakgdyby unosiło się w powietrzu. Wśród powozów snuli się pojedynczy jeźdźcy i piesi, a następnie przyłączył się do procesji zupełnie niespodzianie szwadron cheffieldskiej kawalerji. Żołnierze, dzwoniąc ostrogami, przygalopowali z pola, gdzie odbywali właśnie ćwiczenia, i okrążyli powóz, jak eskortą. Poprzez obłoki kurzu Monthomeri odróżnił błyszczące hełmy, jasne mundury, kosmate grzywy koni i wesółe, ogorzałe twarze żołnierzy. Zaiste, wszystko to sprawiało wrażenie snu!

Wkrótce ich oczom ukazał się niezbyt przy-



jemny widok. W dali wyrastał szereg niezgrabnych budynków, nakształt olbrzymich butelek. Był to krockslejski browar. Jednocześnie niemal zatrzymał procesję przecinający drogę jeszcze dłuższy pochód. Cała prawie droga była wprost zalana powodzią powozów i szarabanów. Procesja Wilsona zatrzymała się, oczekując na ich przejazd. Wymijając przeciwnika, ludzie z żelaznej fabryki wykrzykiwali i rzucali obelgi, zależnie od nastroju. Rywale obrzucali się wzajemnie ostrymi kamieniami, podobnymi do brył węgla.

— Wieźcie go, wieźcie! — krzyczeli ludzie z Krocksley, — a czyście mu przyszykowali trumnę, żeby go napowrót w niej zabrać?

— No, no, powoli! — odpowiadano ze strony Wilsona, — a gdzie macie swego koślawca? Niech się każe sfotografować, przynajmniej będziecie widzieli, jaką miał gębę.

— Co! to ma być champion? Pfi! Zaledwie niedopieczony doktor.

— Poczekajcie, jak poprzetrąca kulasy waszemu championowi z Krocksley, to dopiero przekonacie się, że doktor.

Takie oto uprzejme zdania wymieniali między sobą współzawodnicy, sportsmeni. Nagle wśród tłumu z Krocksley rozległ się krzyk, przechodząc w nieopisane wycie, pełne zachwytu. Przez drogę

pomknęło z ogromnym hałasem czteroosobowe lando, zaprzężone w czwórkę koni. Cały powóz był zawieszony czerwonymi wstążkami. Stangret miał biały kapelusz z czerwoną kokardą, a za nim na wysokich sprężynowych poduszkach siedział mężczyzna z kobietą która jedną ręką obejmowała swego amanta przez pól. Monthomeri rzucił wzrokiem na tę parę. Mężczyzna był ubrany w pasiaste palto, szyję mu okręcała czerwona szarfa, na głowie miał nisko nasuniętą futrzaną czapkę. Towarzyszka jego bezwstydna, ruda o białej cerze kobieta śmiała się głośno. Mistrz — on to był właśnie — przejeżdżając, obejrzał się, spojrzął badawczo na Monthomeri i uśmiechnął się lekceważąco. Uśmiech ten dość szeroki odsłonił brak kilku zębów. Twarz Mistrza była okrutna, zła, sina, ospowata o nieubłaganym wzroku i wydłużonych szczękach, świadczących o uporze.

Tuż za tym powozem przesunęło się lando, krórem jechali bogaci sportsmeni, czerwoni ze wzburzenia, starsi robotnicy, dozorczy fabryczni i dyrektorowie. Jeden z nich przechylił do ust metalową flaszkę i pił. Przejeżdżając koło Monthomeri, wydał jakiś okrzyk.

Następnie tłum przerzedził się i procesja wraz z dragonami ruszyła na ostatku.

Od Krockesley droga wiodła pomiędzy zielo-



nymi wzgórzami, poszarpanymi i zeszpeconymi przez poszukiwaczy węgla i żelaza. Wogóle cała miejscowość we wszystkich kierunkach była zrujnowana. Olbrzymie sterty śmieci i góry całe zuzi świadczyły o tem, że wszędzie grunt był przekopany przez ludzi. Tutaj droga skręcała do wielkiego rozwalonego w połowie budynku bez dachu. W oknach pozbawionych ram widać było światło.

— Jest to stara fabryka Arrosmitha; walka tu się odbędzie — rzekł Wilson.

I spojrzawszy z niepokojem na Monthomeri, zapytał:

— No, jakże się pan czuje?

— Dziękuję, lepiej nie czułem się nigdy jeszcze — odpowiedział Monthomeri.

— Doprawdy zazdroszczę pańskim nerwom! — zawołał Wilson, który zapewne sam był rozstrojony. — Nie przesądzam wyników, ale widzę, że czyn pana będzie chwalebny. Spójrz pan na ten budynek po prawej ręce — to biuro. Myśmy zajęli je na przebieranie się i ważenie.

Powóz zatrzymał się u stóp wzgórza wśród ogólnych okrzyków, Wzdłuż całej drogi ustawił się już szereg powozów, pode drzwiami rozwalonej fabryki było tłocznie i gwarно. Ceny miejsc według olbrzymiego afisza, wynosiły od 1 do 5 szylingów. Psy wpuszczano za pół ceny. Dochód po

potrąceniu wydatków przeznaczony był dla zwycięzcy. Już teraz było widoczne, że wysokość nagrody przekroczy sto funtów.

Tymczasem hałas w drzwiach fabryki powiększał się. Robotnicy domagali się stanowczo, aby psy miały wejście bezpłatne. Jak zwykle dochodziło do kłótni i psy zaczęły szczekać. Tłum stał się podobny do olbrzymiego morskiego bałwana, który wcisnął się w wąską szczelinę i szuka wyjścia.

Czterosobowe lando, zawieszone czerwonymi wstęgami zatrzymało się przed biurem. Tam też skierowali się Fausett, Purwis, Wilson i Montheri.

Był to duży, pusty pokój z brudnymi ścianami, na których widniały jednak białe czworokątne i owalne plamy, świadczące, iż wisiały tu niegdyś obrazy. Na podłodze leżała stara szmata, jedyne zaś meble stanowiło kilka ławek i sosnowy stół, na którym stała miednica do mycia rąk i miska. Poprzeczne kąty pokoju przedzielała portjera, pośrodku stał fotel do ważenia.

Podbiegł do nich człowiek wysoki, spasiony w czerwonym krawacie i niebieskiej nakrapianej kamizelce. Był to Ermedż, handlarz mięsa i sadła, popularny w dzielnicy i zawzięty amator sportu.



— No, no! — chrząknął ochryplym bulgoczącym głosem — przyjechaliście? I przywieźliście swego championa?

— Oto jest we własnej osobie żywy i zdrów— odrzekł Wilson — mister Monthomeri, pozwoli pan, że przedstawię go mister Ermedżowi.

— Przyjemnie mi poznać pana, sir, bardzo się cieszę, bardzo. Ośmielam się powiedzieć, że my, w Krockesley, zachwycamy się pańskim męstwem. Jedyłą naszą nadzieją, że walka odbędzie się honorowo, a z naszej strony nikt nie okaże prywatnych względów, bo niech ten zwycięży komu los przypadnie. Takie jest nasze zdanie w Krockesley.

— Podobnie i ja sędzę — odrzekł młody zapaśnik.

— Doskonale powiedziane, doskonale pan to powiedział, mister Monthomeri. Pan przyjął na siebie wielki obowiązek i obowiązek ten trzeba spełnić. Co do mnie, to ja zawsze kierowałem się tą zasadą. Ale Mistrz jest już gotów do wagi.

— Ja też jestem gotów.

— Ale pan powinien rozebrać się do wagi.

Monthomeri zerknął okiem na wysoką rudą kobietę, która znajdowała się w pokoju, wyglądając przez okno. Wilson odgadł to spojrzenie i rzekł głośno.

— Naturalnie, idź pan za portjerę i włóż pan swój bojowy kostjum.

— Monthomeri zastosował się do wezwania i po chwili wyszedł z za portjery w ubraniu atlety.

Był niezwykle piękny w tych białych, obszernych spodniach i w pantoflach z żaglowego płótna. Kibić jego ujmował pasek, świadczący o przynależności do pewnego sportowego klubu. Okazało się, że przygotowania do walki poczynił bez zarzutu. Skóra na nim połyskiwała, jak jedwab, szerokie ramiona i piękne ręce ujawniały silnie rozwiniętą muskulaturę.

— No, jakże on ci się podoba? — zapytał Ted Barton kobiety, stojącej w oknie. Spojrzała na młodego atletę lekceważąco.

— To ci dopiero okaz! — wycodziła przez zęby. — Szmata, nie człowiek. Naprzeciwno mojego ten chłopak zgaśnie, jak świeca. Niech-no mój najmilejszy złapie go za kołnierz, to polecą na drugą stronę.

— Być może, a może i nie! — rzekł Ted Barton. — A wiesz, co powiem! Ostatnie dwa funty, jakie mi zostały w kieszeni postawiłem na niego i to mnie bynajmniej nie smuci. Ale otóż mamy i Mistrza! Niech go djabli porwą, jak on dobrze wygląda!



Z po za drugiej portjery wyszedł przeciwnik Monthomeri — krępy, olbrzymi człowiek. Piersi i ręce miał poprostu zastraszające; szedł, nieznacznie utykając. Skórę miał ciemną i pokrytą plamami, na piersiach — czarne włosy. Górna część jego ciała robiła imponujące wrażenie; ramiona były na miarę Kolosa, olbrzymie o czarnym kolorze pięści zwisały ciężko, jak dwa wielkie młoty, natomiast biodra i nogi miał stosunkowo słabe i małe. Pod tym względem Mistrz ustępował Monthomeri, który znów był przedziwnie zgrabny i wyglądał, jak grecki posąg. Spotykali się właśnie ludzie, z których jeden poświęcił się i był zdatny do jedynej sztuki, drugi zaś posiadał kwalifikacje do wszelkiego rodzaju sportu. Przeciwnicy spojrzeli na siebie z ciekawością. Jeden był podobny do tęgiego buldoga, drugi — do tresowanego o cienkich nogach i mądrego terriera.

— Jak się pan miewa? — powitał swego współzawodnika Monthomeri.

— Jak się masz? — odpowiedział Mistrz, krzywiąc się ponownie w uśmiechu i pokazując przelotnie jedyne swe zęby. Resztę mu wybito w różnym czasie, bowiem nie bez skutku praktykował w ciągu 20 lat na boksterskich popisach.

Po powitaniu Mistrz splunął na ziemię i związał rozmowę:

— Piękna pogoda! Najbardziej sprzyjająca sprawie, nieprawdaż?

— Rzeczywiście, pogodę mamy piękną — zgodził się Monthomeri.

Rzeźnik Ermedż, który słyszał tę pogawędkę, ucieszył się w duchu i oznajmił, zwracając się do obecnych:

— Wiecie, najbardziej mi się, podoba wzajemna życzliwość. Ach, jacy to dobrzy ludzie! Ludzie przedniego gatunku! Jakie mięśnie! Jakie kości! A przytem — żadnej urazy do siebie nie mają!

Mistrz skinął głową i potwierdził:

— Niech mu Pan Bóg daruje, jeżeli mnie utracił

— A jeżeli ty go utracisz, to niech mu Bóg dopomoże! — wtrąciła kobieta.

Mistrz rozgniewał się:

— Trzymaj, dziewczyno, język za zębami — ryknął straszliwym głosem — cóżeś za jedna, żeby się tu wtrącać? A może chcesz, żebym ja ci przejechał pięścią po mordzie?

Tej groźby widocznie kobieta nie ulękła się, bo powiedziała z uśmiechem:

— Najmilejszy mój, i bezemnie pracę masz dużą, nasamprzód rozpraw się z tym oto uczonym, a później, zabierzesz się do mnie.



Nieporozumienie kochanków przerwało pojawienie się nowej osoby. Do biura wszedł gentleman w futrze i błyszczącym, jak słońce, cylindrze. Podobnie błyszczące kapelusze spotyka się dopiero w odległości pięciu wiorst od Hyde-Parku. Gentleman nasunął cylinder na tył głowy, okalając nim, jak ramką, wyniosłą łysinę, uważne, przenikliwe oczy i pomiętą, dobroduszną twarz. Następnie wystąpił naprzód krokiem pewnym siebie, jakgdyby był gospodarzem w tym domu.

— Mister Steplton, korespondent z Londynu — oznajmił Wilson.

Monthomeri podszedł do dziennikarza:

— Jak się pan miewa, mister Steplton? Miałem zaszczyt poznać pana podczas wielkiej walki w „Karinfejskim Klubie“, w Piccadilly.

— O, bardzo mi przyjemnie, bardzo mi przyjemnie! — odrzekł Steplton, ściskając dłoń Monthomeri. Proszę mi wybaczyć, ale przedstawia mi się taka masa ludzi, że naprawdę z trudnością zapamiętywam nazwiska. Wilson, nie prawdaż? Ogromnie cieszę się pańskim widokiem, panie Wilson, słowo daję! Na stacji nie mogłem znaleźć powozu i dlatego spóźniłem się.

— Ja, sir, my wszyscy, sir... — zaczął Ermitedż — my wszyscy poprostu dumni jesteśmy, że tak znany w świecie atletycznym człowiek, jak

pan, raczył przybyć na nasze skromne przedstawienie.

— Co znowu, co znowu! — bronił się Steplton. — Ja wszak zawsze jestem taki. Wszystko, cokolwiek ma związek z boksem, to zawsze znajduje we mnie najzagorzalszego obrońcę. Zawsze jestem gotów okazać poparcie, zawsze. No, ale tutaj wszystko już przygotowane? Żapaśnicy zważeni?

— Nie jeszcze, sir, zaraz będziemy ważyć.

— Bałem się spóźnić na tę właśnie chwilę. A z panem, panie Kraghs, widziałem się. Na pańskiej drugiej walce z Willohem byłem obecny. Najprzód pan go utracił z nóg, a później on wziął górę. No, jak tam na indykatorze? Sto sześćdziesiąt trzy funty; odrzucmy dwa funty na ubiór, zostanie więc sto sześćdziesiąt jeden... No, a teraz pan, panie młody, na wagę... Na Boga, jakiegoż klubu pan nosi kolory?

— Kolory anonimowego klubu gry w krokietą..

— A jakież prawo pozwala panu nosić te kolory? Ja też należę do tego klubu.

— Ja również.

— Zatem pan jesteś amatorem?

— Tak, sir.

— A jednak występuje pan do walki o pięniężną nagrodę?



— Tak.

— Naturalnie, ma pan świadomość własnych czynów. Pan pojmuje, że dzień dzisiejszy czyni z pana zawodowego zapaśnika, i jeżeli pan po raz wtóry wystąpi o nagrodę pieniężną..

— To nie powtórzy się już nigdy — przerwał Monthomeri.

— Ależ napewno, będzie to jego ostatnią próbą — wtrąciła kobieta.

Mistrz rzucił na nią spojrzenie okrutne.

— No, zapewne, zapewne, rób pan, jak chcesz — zgodził się Steplton — a obecnie proszę na fotel. Sto pięćdziesiąt jeden, dwa funty odliczymy, pozostaje sto czterdzieści dziewięć. Różnica o dwanaście funtów, ale za nim przemawia młodość i zwinność. Szanse prawie jednakowe... A więc, panowie, przystępujemy do dzieła. Im prędzej skończymy, tym lepiej. Muszę jeszcze zdążyć na pociąg do Cheffield. Walka, oczywiście, odbędzie się według kwinsberyjskich przepisów. Dwadzieścia trzyminutowych starć z minutowymi przerwami. Dobrze mówię?

— Tak jest, sir.

— Znakomicie. Więc ruszamy!

Szermierze narzucili na siebie palta i całe towarzystwo — główni gracze, szermierze, sekundanci i korespondent — opuścili biuro. Na dro-

dze spotkał ich inspektor policyjny. W rękach miał zapisaną książeczkę. Ta policyjna książeczka działa skuteczniej niż broń i przejmuje lękiem nawet londyńskich dorożkarzy.

— Zmuszony jestem zanotować nazwiska panów, a to na wypadek, gdyby zakłócono porządek — oznajmił inspektor.

Ermitedż obruszył się:

— Czy pan czasem nie zamierza przerwać nam walki?! Jestem Ermitedż z Krockesley, a oto mister Wilson. Znają nas tu powszechnie i zaręczamy, że porządek nie będzie zakłócony.

— Ja notuję nazwiska na wypadek, gdy zajdzie potrzeba sporządzenia protokołu — odrzekł inspektor z flegmatyczną stanowczością i zajął się swoją sprawą.

— A jednak pan mnie zna.

— To nie ma znaczenia. Czy pan będzie księciem, czy nawet sędzią, to obowiązkiem moim zanotować pańską godność. Tak nakazuje prawo i nie warto mówić. Walka będzie się odbywała w rękawicach i ja nie mam prawa jej odwoływać, ale zapisać nazwiska, biorących w niej udział, muszę. A więc notuję: Silas Kraghs, Robert Montheri, Edward Barton, James Steplton z Londynu... Któż jest sekundantem Silas Kraghsa?



— Ja jestem — oświadczyła kobieta — no, i po co wybałuszyliście na mnie oczy? To moja rzecz, nie wasza. Nazywają mnie Anastazją. Proszę pisać trzy „a“...

— Nazwisko Kraghs?

— Johnson. Jestem Anastazja Johnson. Jeżeli pan go wsadzi, to i mnie z nim razem.

— Głupia, kto ci powiedział, że mnie wsadzą? — warknął Mistrz i zwracając się do Ermitedża, rzekł głosem zniecierpliwionym:

— Chodźmy, tak czy owak, bo mnie od tego zawracania głowy wątroba zaboli.

Inspektor ruszył razem z niemi. Gdy podeszli do rozwalonej fabryki, zbliżył się do kasy. Znajdując się w charakterze przedstawiciela prawa, zażądał dla siebie bezpłatnego miejsca w pierwszym rzędzie, skąd mógłby obserwować walkę w interesie państwa i społeczeństwa; w charakterze zaś osoby prywatnej postawił na Mistrza trzdzieści szylingów, siedm na jeden.

Weszli do wnętrza. Wązki korytarz był natłoczony po brzegi. Przedarli się przemocą przez ten tłum, skierowali drewnianymi schodami na górę i znaleźli się na miejscu sztucznie podwyższonem. Miejsce to było ze wszystkich stron okrażone sznurami na wysokości metra. Monthermeri zrozumiał, że tutaj właśnie, w tym „Kole“

różstrzygną się jego losy. W jednym z rogów wzniesiona powiewała biało - błękitna chorągiew. Tam też zaprowadził go Barton i posadził na drewnianem krześle; obok niego stanął Barton i jeszcze jakiś jegomość, obadwaj w białych krótkich marynarkach.

Tak zwane „Koło“ podobne było do czworoboku, mającego dwadzieścia łokci szerokości i tyleż długości. W przeciwległym kącie widniała złowroga postać Mistrza, tuż przy nim znajdowali się sekundanci i ruda kobieta i jakiś mężczyzna o niezwykle ordynarnym wyrazie twarzy. We wszystkich rogach stały miednice, naczynia z wodą i gąbki.

Wszedłszy na to wzniesienie, Monthomeri był ogłuszony wyciem i krzykami widzów. Nawet pod pierwszym wrażeniem nic nie widział. Ale po upływie kilku minut, podczas których oczekiwano na korespondenta, Monthomeri obrzucił wzrokiem salę, sprawiającą nader oryginalne wrażenie. Drewniane miejsca dla widzów wznosiły się ku górze amfiteatralnie. Wszystkie ściany budynku aż czerniały od publiczności. Gdy Monthomeri spojrział do góry, zauważył, że sala nie ma sufitu i przez czworoboczny otwór widać było przestrzeń nieba, przesłoniętą szaremi chmurami na których tle przelatywało powoli stado wron.



Monthomeri znowu skierował wzrok na widzów, tworzących nieprzejrzały tłum; w pierwszych rzędach widać było wspaniałe stroje, w tyle zaś, wysoko pod ścianami — pstrokacizną skórzanych fartuszków i perkalikowych ubiorów. Wszytkich twarze zwrócone były na niego, na Monthomeri.

Powietrze zatruwały wyziewy i mdłe zapachy; ordynarny dym taniego, cuchnącego tytoniu kręcił w nosie. Wśród twarzy ludzkich tkwiły psie mordy, z tylnych ławek psy wyły i szczekały. W tym ludzkim natłoku jednostki ginęły. Monthomeri mógł tylko odróżnić miedziane hełmy dragonów, którzy mu tutaj towarzyszyli. W końcu platformy siedzieli reporterzy — trzech miejscowych, dwóch z Londynu. Ale gdzież się zapodział wszystko mogący korespondent, mister Steplton? To on tam stoi w wejściu pomiędzy tłumem rozwścieczonych i awanturujących się robotników?

Steplton miał przejście następujące: oddalił się od swych współtowarzyszy, aby przebrać się w inne bardziej odpowiadające, jego zdaniem, nastrojowi i chwili rękawiczki, wskutek czego przyszedł o kilka sekund później. Przeciskając się przez tłum, próbował przejść na platformę. Robotnicy już wiedzieli, że jednym z szermierzy

będzie „gentleman” i sędzią również „gentleman”. A do czego to podobne? Poczóż tu gentleman z Londynu? Sędzią walki powinien być swój człowiek—robotnik.

Więc robotnicy zatrzymali Stepltona w przejściu i okrążyli go ze wszystkich stron zwartym kołem. Z wściekłością i nieprawdopodobnymi wymysłami nacierali na niego, wygrazając mu przed nosem pięściami. Zwłaszcza zachowywała się burzliwie jakaś kobieta, która ciskała mu niemal do ucha najbrudniejsze i najwstrętniejsze wyrazy. Ktoś nawet uderzył go parasolem.

— Dalej do Londynu, dalej do wszystkich djabłów! Nie potrzeba cię tutaj, nie potrzeba! — rozlegały się krzyki.

Steplton przystanął i rozejrzał się dokoła. Wśród tego rozwścieczonego tłumu sytuacja stawała się nader niebezpieczną. Nie bacząc na to zachował spokój. Wyjął z kieszeni złoty zegarek, położył go na dłoni i oświadczył:

— Za trzy minuty ogłaszam walkę za niedokonaną!

Robotnicy poprostu oszaleli. Doprowadzał ich do pasji pewny siebie wygląd eleganckiego dziennikarza i jego nasadzony na tył głowy, błyszczący cylinder. Groźnie zaciśnięte pięści podnio-



sły się ku górze... Ale jakże uderzyć człowieka który nie zwraca na otoczenie najmniejszej uwagi?

Za dwie minuty ogłaszam walkę za nieodbyta! — znowu oznajmił Steplton.

Rozległy się bardziej groźne wymysły. Steplton uczuwał na swej twarzy oddech tego rozwścieżonego tłumu. Przed jego nosem zaciśnięta brudna pięść wykonywała znaczące ruchy.

— Słuchaj, tyś nam niepotrzebny. Idź stąd, pókiś cały!

— Za minutę ogłaszam walkę za nieodbyta! — ponownie oznajmił Steplton. I zimna, niewzruszona jego stanowczość odniosła zwycięstwo nad chwiejnym, popędliwym tłumem.

Rozległy się nawoływania.

— Hej, towarzysze, puście go, niech idzie, bo naprawdę walka nie odbędzie się.

— Niech idzie!

— Bull, djabelskie dziecko, zejdź z drogi, słyszysz! Czego chcesz jeszcze? Przecie walki nie będzie!

— Z drogi panu sędziemu! Z drogi gentlemanowi z Londynu!

I Steplton popychany ze wszystkich stron, omal nie unoszony na rękach tłumu, przedostał się na platformę i zasiadł na krześle, przygoto-

wanem dla niego specjalnie. Przy nim siadł gentleman, obowiązany do liczenia minut. Steplton zsunął swój cylinder bardziej na tył głowy, oparł się dłońmi na kolanach, a twarz jego przybrała wyraz uroczysty. Bezwątpienia, dziennikarz zdawał sobie sprawę z doniosłości zadania.

Potworny rzeźnik Ermitedź, wystąpił na środek areny, podniósł do góry spalone ręce, na których połyskiwały pierścienie i dał znak, że chce mówić.

— Gentlemani!—zawołał—gentleman! Gentlemani!

— I lady!... — zakrzyknął ktoś z tłumu. Rzeczywiście, gdzieś widać było także stroje kobiet.

— Hej, dobrodzieju, a po czemu teraz kulety? — rozległ się inny głos.

Sala zatrzęsa się od śmiechu, a psy zaczęły ujadać. Ermitedź wymachiwał rękami, będąc podobny tym razem do dyrygenta, który prowadzi orkiestrę.

Wreszcie zapanowała cisza.

— Gentlemani! — zaczął mówca — starcie nastąpi pomiędzy Silas Kraghs'em, którego nazywamy Mistrzem z Krockesley, a Robertem Monthomeri z Wilsonowskich kopalni węgla. Zapańcicy zostali zważeni. Kraghs ma sto sześćdziesiąt jeden



funtów, Montheri zaś sto czterdzieści dziewięć. Walka winna się odbyć pod warunkiem, że rękawice szermierzy ważą po dwie uncje. Starć zapowiedziano dwadzieścia po trzy minuty każde. Jeżeli walka przeciągnie się aż do końca, to zwycięzcą zostanie ten, którego sędzia uzna za najzdolniejszego. Na objęcie stanowiska sędziego wyraził zgodę znany londyński dziennikarz, mister Steplton. Ja ze swej strony oraz Wilson mamy względem mister Stepltona zupełne zaufanie. Prosimy, abyście i wy podporządkowali się jego decyzjom.

Po tej przemowie Ermitedż zwrócił się do szermierzy i dał znak ręką.

### III.

— Montheri! Kraghs! — zawołał.

Na sali w okamgnieniu zapanowała grobowa cisza. Nawet psy przestały ujadać. Zdawałoby się, że ten olbrzymi lokal nagle zaległa pustka. Obadwaj szermierze podnieśli się i naciągnęli na ręce bojowe rękawice białego koloru. Poczem, stanąwszy naprzeciwko siebie po środku areny, uściśnieli sobie dłonie. W tej chwili Montheri był poważny, Kraghs zaś uśmiechnięty.

Następnie zapaśnicy rozeszli się i zajęli pozycje. Tłum westchnął głęboko, jakgdyby tysiące

piersi jednocześnie wciągnęły powietrze. Stepltoni przechylił się w tył na krześle i objął szermierzy krytycznym spojrzeniem. Z góry było widoczne, że ta walka przeistoczy się we współzawodnictwo siły ze zwinnością. Mistrz stał pewny siebie, niezwalczony, oparty mocno na swej skrzywionej nodze, jak na granitowym piedestale. Patrząc na tego kolosa, miało się pewność, że żadna siła nie ruszy go z miejsca. Stojąc na jednym miejscu, Mistrz doskonale radził sobie ze swoją krzywą nogą i kręcił się na niej w razie potrzeby, jak fryga. Inna rzecz, gdy miał zrobić krok naprzód lub w tył, wtedy to niedomaganie fizyczne dawało mu się we znaki.

Mistrz był o wiele wyższy i szerszy od swego przeciwnika; jego gruba, ciemna twarz miała wyraz zdecydowany i groźny... Widząc tę twarz, stronnicy Wilsona stracili wiarę w swoją wygraną. Jeden tylko z pośród wszystkich na całej sali nie lękał się Mistrza. Był nim Robert Monthomeri.

Teraz, gdy wreszcie nastąpiła chwila rozstrzygająca, on natychmiast przywołał swe nerwy do porządku i poczuł w sobie energję i spokój. Miał przed sobą wyraźnie określony cel: winien był zwyciężyć tego olbrzyma o okrutnej, złej twarzy. Za zwycięstwo otrzyma nagrodę, która mu zabezpieczy przyszłość.



I czując w sobie napływ radości i odwagi, Monthomeri ją powoli zbliżać się do swego przeciwnika, lawirując na prawo i na lewo, jakgdyby chciał wybadać drogę. Kraghs obserwował go pilnie swym mętnym złym wzrokiem i powoli przekręcał się to w tę, to w inną stronę, wysunawszy nieznacznie rękę lewą, a opuściwszy do dołu rękę prawą. Monthomeri zaczął działać z lewej ręki, następnie zaszedł z prawej strony, zbliżając się stopniowo do przeciwnika. Aż wreszcie znalazł odpowiedni moment i uderzył, ale Mistrz, znajdując się z boku, odparował uderzenie i Monthomeri odpadł w tył. Anastazja krzyknęła przeraźliwym piskiem na znak zadowolenia. Kraghs rzucił się naprzód i zamierzał uderzyć studenta, ten jednak wymknął się i po krótkiej chwili przeciwnicy wpadli na siebie.

— Proszę się rozejść! — zakrzyknął Stepiton.

Rozeszli się i Mistrz jednocześnie zadał Monthomeri mocne uderzenie. Rachmistrz oznajmił:

— Czas!

Pierwsze starcie było skończone. Widzowie bili oklaski. Wszczęły się rozmowy i hałas. Monthomeri nie czuł zupełnie zmęczenia, ale włochata pierś Mistrza rozszerzała się i zwięzła ciężko. Podszedł sekundant i zaczął zwilżać jego czoło gąbką. Anastazja stała przed nim i chłodziła go ręcznikiem.

— Dobra dziewczyna! Dobra dziewczyna! — krzyczano w tłumie.

Rozpoczęło się drugie starcie. Mistrz obserwował ponuro. Monthomeri był zwinny i elastyczny, jak kot. Mistrz spróbował wpaść na niego i zaatakował go z taką szybkością ruchów, jakiej nikt nie spodziewał się po nim, ale student wykonał zwinny ruch i uniknął ataku. Wówczas Mistrz przystanął, skrzywił usta i pokręcił głową. Następnie machnął ręką, jakgdyby przywoływał Monthomeri do siebie. Student zastosował się do wezwania, poprowadził walkę lewą ręką, ale otrzymał tak mocne i bolesne uderzenie w żebra, aż zachwiał się na nogach. Mistrz ruszył naprzód w zamiarze wykorzystania swej przewagi, ale Monthomeri zorjentował się wcześniej i uniknął ciosów.

Starcie skończyło się. Momenty jego nie miały nic zajmującego. Przewaga była po stronie Kraghsa.

— Mistrz nazbyt silny w stosunku do tamtego! — rzekł browarniany robotnik do swego sąsiada.

— No, ale i ten zuch bez zarzutu — zaprzeczył sąsiad — on też potrafi działać. Spójrz tylko, jak on zwinnie podskakuje.

— Pewnie, ale Mistrz jest bez porównania



silniejszy i okrutnie wali. Niech się tylko dobrze do tego młokosa, to poskacze on, jak na nitce.

Szermierze spotkali się znowu. Obadwaj mieli twarze wilgotne. Monthomeri zaczął szybko nacierać i udało mu się uderzyć przeciwnika prosto w czoło. Zwolennicy Wilsona poruszyli się i klasnęli w dłonie, ale Wilson krzyknął w ich stronę z oburzeniem:

— Milczeć! Do porządku!

Monthomeri uniknął uderzenia, jako odwetu i zadał przeciwnikowi nowy cios lewą ręką. Wśród publiczności rozległy się znowu oklaski. Zgorszony sędzia wstał.

— Gentlemani! — rzekł — proszę powstrzymać się od takich wybryków, dopóki trwa walka!

— Poucz ich pan! Poucz! — warknął Mistrz.

— Proszę nie rozmawiać, ale zająć się sobą! — rzucił stanowczo Steplton.

Monthomeri znalazł odpowiedni moment i uderzył przeciwnika prosto w usta. Mistrz potoczył się do swego kąta, podobny do rozjuszonego niedźwiedzia. Starcie skończyło się dla niego niepochlebnie.

— Kto stawia siedem na jeden? — zawołał restaurator Purwis, — ja przyjmę sześć na jeden. Nikt nie odpowiedział.

— Pięć na jeden!—zakrzyknął znowu.

Amatorzy znaleźli się i Purwis pomieścił w nazwiska w swym brudnym notatniku.

Monthomeri czuł się w siódmym niebie. Stał w rogu platformy, oparty o słupek i myślał o rozkoszy tych wypoczynków pomiędzy starciami. O! teraz był zupełnie pewny, że on stanowczo zwycięży. Aby tylko udało mu się zmęczyć przeciwnika. Do końca Mistrz nie wytrzyma za nic. On jest tak powolny, że wszystka jego siła ęzpi na marne.

Do Monthomeri zbliżył się Ted Barton i szepnął mu do ucha:

— Bijesz się o nagrodę, o nagrodę! Bądź ostrożny, nie ryzykuj, nagroda cię nie minie.

Ale Mistrz był przebiegły. Walcząc już tyle razy po nieszczęśliwym wypadku z nogą, nauczył się zastosowywać swe kalectwo do potrzeb.

Powoli, lecz zwinnie manewrował koło studenta i przyciągał go niepostrzeżenie do swego rogu. I oto student ujrzał, jak twarz jego przeciwnika ciemna i ponura tryumfowała. W tępych i złych oczach migotały mu złowrogie blaski. Mistrz górował poprostu nad nim. Monthomeri odskoczył na stronę i wpadł na sznur. Mistrz tymczasem zadawał mu jedno ze swych straszliwych uderzeń z góry, które tamten jako tako odparował i sko-



czył na drugą stronę. Ale i tu był sznur. Utykający herkules zadał mu nowy cios z jakimś dziwnym rykiem. Monthomeri wymknął się, ale otrzymał nowe uderzenie w lewy bok. Wówczas natarł na swego przeciwnika.

— Proszę się rozejść! Rozejść się! — zawołał sędzia.

Monthomeri wypadł z objęć Mistrza i w tej chwili dostał pięścią w ucho. Starcie stanowczo nie przemawiało za nim. Stronnicy Mistrza wyli z radości.

— Gentlemani! — zawołał Steplton. — Ja nie życzę sobie tego krzyku! Jestem przyzwyczajony do prowadzenia walki w przyzwoitych klubach, ale nie w menażerji.

Ten mały człowieczek w cylindrze na bakier panował nad wszystkimi. Był podobny do nauczyciela, strofującego chłopców. Nikt nie odważał się spojrzeć mu prosto w oczy.

Mistrz siadł na swoim miejscu. Podeszła do niego Anastazja i pocałowała go.

— Porządna dziewczyna! — zakrzyknęto w tłumie.

— Pocałuj go jeszcze raz!

Rozległy się śmiechy. Mistrz zagniewany uderzył swoją kochankę rękawicą po twarzy.

Monthomeri czuł zmęczenie i ból, ale męstwo

nie opuszczało go. Dano mu pożyteczną lekcję, więc postanowił, że obecnie przeciwnik nie zaciągnie go do swego rogu.

Następne trzy starcia przeszły jednakowo. Student zadawał razy coraz częstsze, natomiast Mistrz bił mocniej. Korzystając z doświadczenia, Monthomeri starał się trzymać po środku, wskutek czego Mistrzowi nie udawały się próby zapędzenia go do kąta. Czasem Kraghs wypierał studenta do bocznego sznura, ale ten w podobnych wypadkach unikał podobnej zasadzki, albo też atakował przeciwnika i w ten sposób wywalczał sobie pozycję otwartą. Na sali panowało grobowe milczenie, wśród którego rozlegał się szybki, przyciszony tupot podbitych gumą pantofli, głuche razy uderzeń i świszczący oddech zmęczonych szermierzy. Co pewien czas padało z ust sędziego: „proszę się rozejść“.

Zaczęło się starcie dziewiąte. Obadwaj zapasnicy znajdowali się w stanie zadawalającym. Monthomeri szumiało trochę w głowie od otrzymanego w kacie uderzenia i dolegał ból w palcu, jakby z powodu zwichnięcia. Mistrz nie okazywał śladów zmęczenia, oddychając tylko głęboko i z przestankami. W notatniku sędziego widniał długi szereg czarnych punkcików. Były to uderzenia, które otrzymał Mistrz z rąk studenta. Ale



cóż to były za uderzenia! Jeden cios z ręki Kraghsa był więcej wart, niż trzy studenta. Monthomeri wiedział doskonale, że bez rękawic nie mógłby wytrzymać już po trzech starciach z przeciwnikiem.

Nastąpiło dziesiąte spotkanie, zatem połowa walki dobiegała końca. Stawka obecnie wynosiła trzy na jeden, ponieważ champion Wilsona przeszedł wszelkie oczekiwanie. Ale znawcy boksu tymali po stronie Mistrza. Przedewszystkiem cenili w nim doświadczonego szermierza i byli pewni, że wreszcie spełni on swe zadanie. Barton zbliżył się do Monthomeri i szepnął:

— Miej się na ostrożności, młodzieńcze, pamiętaj! On ci teraz spleta figła.

Ale Monthomeri miał wrażenie, że jego przeciwnik zmęczył się ostatecznie. I rzeczywiście, Mistrz był jakiś ospały, nieuważny i coraz opuszczał ręce. Widocznie górowała nad nim młodość i zdrowie. Monthomeri rzucił się naprzód i poprowadził piękną walkę lewą ręką. Mistrz bronił się, nie zdobywając się na jakikolwiek czyn stanowczy. Monthomeri znów napadł go i znowu jego strona przeważała. Wówczas spróbował zająć z prawej strony. Mistrz wykonał ruch do uderzenia z dołu.

— Za nisko! Za bardzo nisko! Błąd! Błąd! — krzyknęło tysiąc głosów.

Steplton objął salę wzrokiem ironicznym.

— Mam wrażenie, że cały ten lokal natłoczony jest sędziami—wyrzekł.

Widzowie zaśmieli się i klasnęli w dłonie. Ale Steplton przyjął ich oznaki zadowolenia z takim samym spokojem, jak ich oburzenie.

— Tylko proszę bez oklasków!—oznajmił—tu nie teatr.

Monthomeri był ogromnie zadowolony ze siebie. Jego przeciwnik znajdował się w stanie, zapewne jak najgorszym. Otrzymywał razy coraz częstsze i nie używał nawet ruchów obronnych. Student postanowił kuć żelazo, póki gorące i zaatakował przeciwnika, wymierzając mu silne uderzenia prosto w nieogoloną szczękę. Odwetu nie dostał.

I nagle Mistrz opuścił gwałtownie ręce i chwycił się za nogę. Sprzyjająca chwila nadeszła.

Napadnij teraz! Napadnij! — zakrzyknął Ted Barton.

Monthomeri rzucił się gwałtownie naprzód, a za chwilę leżał już prawie nieprzytomny pośrodku areny. Zdawało mu się, że ma złamany kark.

Całe to starcie było wybiegiem. Mistrz użył wypróbowanego sposobu, aby ściągnąć przeciwnika ku sobie i zadać mu ulubione



uderzenie z góry. W tym celu właśnie chwycił się za nogę, symulując niedomaganie. Rzuciwszy się nieostrożnie naprzód, Monthermeri wpadł nie spodzianie pod jeden z tych ciosów, które przyprowadzają o utratę zmysłów każdego człowieka. Kulawy herkules zadał studentowi uderzenie wyciągniętą ręką, z dołu do góry prosto w podbródek. Student zachwiał się i runął na podłogę jak długi. Tłum był tak poruszony tą sceną, że nie mógł już krzyżeć. Jęczał tylko i ryczał. Otworzył szeroko usta i wybałuszywszy oczy, wszyscy patrzeli na wijącego się na podłodze szermierza.

Mistrz szybko podszedł do swej ofiary, gotując się do nowego uderzenia w razie, gdyby student chciał wstać.

— Cofnąć się, cofnąć się! — Krzyknął sędzia  
Mistrz nie ustępował

— Proszę odejść stąd, panie Kraghs, czy pan nie słyszy? — powtórzył surowo Steplton.

Mistrz z ponurym wyrazem twarzy opuścił ręce i poszedł, utykając, do sznura, okrutne oczy utkwil w leżącym przeciwniku. Rachmistrz zaczął głośno liczyć sekundy.

Według przepisów walki, jeżeli po upływie dziesięciu sekund Monthermeri nie wstanie, walkę uważa się za skończoną. Ted Barton załamywał ręce i wydawał jakieś okrzyki ze zgrozy.

Jak przez sen, jak pod dławiącym uciskiem zmory, student chwycił pojedyncze słowa rachmistrza.

— Raz... dwa... trzy... cztery... pięć...

Oparł się na rękę i usiłował wstać.

— Sześć... siedm...

Monthomeri podniósł się na kolano. Bolało go całe ciało, w głowie miał szum, czuł osłabienie, ale postanowił wstać.

— Ośm...

Był już na nogach. W tej chwili Mistrz rzucał się na niego, jak tygrys. Obie ręce miał podniesione do góry. Widzowie zatrzymali oddech i czekali na śmiertelne uderzenia, czekali na smutne zakończenie walki, tem smutniejsze, że ten ostatecznie zwyciężony, ale nie chcący poddać się, szermierz pozyskał ich sympatję.

Czasem ludzki mózg pracuje automatycznie. Bez żadnego wysiłku, mimowoli, przyszedł na myśl Monthomeri sposób, którego zastosowanie uratowałoby go. Przypomniał mu się syn Mistrza, gdy mówił, że ojciec jego źle widzi na lewe oko. I nagle Monthomeri rzuca się w lewo, a w tej chwili spada na niego silne uderzenie. Mistrz odwrócił się i wpadł na niego znowu.

— Wal go! Wal go na ziemię! — krzyknęła Anastazja.



— Milczeć! — zawołał sędzia.

Monthomeri znów rzucił się na lewo, ale Mistrza trudno było oszukać. Kraghs zawrócił wprost do swego przeciwnika i zadał mu cios prosto w twarz. Monthomeri poczuł, jak uginają się pod nim kolana, i z jękiem upadł na ziemię. Teraz już zdawał sobie sprawę, że wszystko skończone. Wiedział, że za żadną cenę nie będzie mógł wstać. Jakby w oddali słyszał zmieszane głosy tłumu i słowa rachmistrza:

— Raz — dwa — trzy — cztery — pięć — sześć...

Nagle Steplton, nie pozwoliwszy doliczyć do dziesięciu, oznajmił:

— Czas!

Była to nader przyjemna niespodzianka. Zwolennicy Mistrza aż zawyli z niezadowolenia, natomiast stronnicy Wilsona cieszyli się i bili oklaski. Wszak gdyby nie te cztery uratowane sekundy, ich champion byłby uznany za pokonanego. Teraz Monthomeri miał czasu całą minutę na przyjście do siebie. Sędzia rozglądał się naokoło, twarz miał zadowoloną, oczy roześmiane. Lubiał dokonywać tego rodzaju niespodzianek i zjawiać się z pomocą tam, gdzie zdawało się, że wszelka nadzieja stracona. Dlatego w tej chwili był zadowolony ze siebie i zamieniał spojrzenia z rachmistrem, przyczem obadwaj uśmiechnęli się.

Ted Barton razem z drugim sekundantem podbiegli do Monthomeri, podniósł go i posadził na krześle. Strumień zimnej wody podziałał na niego orzeźwiająco. Wzdrygnął się i rozejrzał dokoła.

— Patrzcie, oprzytomniał!—zakrzyknął tłum— to zuch dopiero! Udał się wyjątkowo!

A Barton tymczasem wlał Monthomeri do ust znaczną ilość wódki. Wnet oszołomienie minęło. Teraz pojmował już wyraźnie, gdzie się znajduje i co ma robić. Jednakowoż osłabiony był okropnie i zaledwie miał słabą nadzieję, że najbliższe starcie zakończy się dla niego pomyślnie.

— Sekundant! precz z areny! Czas! — krzyknął Steplton.

Mistrz z Krockesley wstał szybko.

— Trzymaj się od niego zdaleka! Zrób sobie odpoczynek—radził Ted Barton.

I Monthomeri znów stanął naprzeciw swego wroga.

Dwie nauczki już otrzymał. Pierwsza polegała na tem, że Mistrz zapędził go do rogu, dzięki zaś drugiej omal, że nie zginął. Obecnie Monthomeri postanowił zachować wyrozumiałość i być bardziej ostrożnym. Wiedział już, że ryzykować nie można, ponieważ Mistrz mógłby za jednym zamachem rozstrzygnąć całą sprawę.



Mistrz zaś zamierzał wykorzystać całą swą osiągniętą przewagę i oto rzucił się na studenta, tłukąc obiema rękami. Ale Monthomeri dzięki swemu wiekowi i szybkiemu orjentowaniu się unikał zręcznie zasadzki. Walka była malownicza. Mistrz stał się podobnym do pancernika pierwszego kalibru, Monthomeri zaś sprawiał wrażenie zwinnego krążownika, który szczęśliwie lawiruje.

Mistrz wprowadził w czyn całą swą sztukę. To zwabiał do siebie przeciwnika pod pozorem zmęczenia, to rzucał się na niego, usiłując zagnać go do sznura; ale w ciągu trzech starć wyczerpał wszystkie sposoby. Monthomeri unikał ataku dla odpoczynku i poczuł, że siły znowu mu wracają. Wprawdzie kręgosłup miał istotnie potłuczony, jakby nie swój, ale ten ból stopniowo przemijał. Pozostała tylko przykra dolegliwość w karku. Pierwsze starcie Monthomeri poprowadził, stosując ruchy obrony i wymykając się z pod okrutnych razów Mistrza, drugie pozwoliło mu już na odparowywanie uderzeń, podczas zaś trzeciego zaczął sam atakować. Stronnicy Wilsona wyli poprostu z zachwytu. Nawet zwolennicy Mistrza wbrew własnemu interesowi darzyli oklaskami młodego championa, którego męstwo porywało ich.

Mistrz spostrzegł, że zaczyna tracić szanse do zwycięstwa i wpadł we wściekłość. JAKO?

Sprawa była na ukończeniu, a oto trzeba wszystko zacząć na nowo. Przeciwnik jego stawał się coraz potężniejszy, wracały mu utracone siły. Nastąpiło piętnaste starcie. Mistrz zniechęcał się, ale dodała mu otuchy Anastazja, która zwróciła uwagę na pewien szczegół.

— Słuchaj, mój drogi — szepnęła — ugodziłeś go w żebra porządnie, bo patrz, jak on ciągle popija gorzałką. Daj mu raz jeden a dobrze i wyciągnie nogi.

Istotnie w tej chwili Monthomeri wyrwał z rąk Bartona butelkę i pociągnął spory łyk. Na twarzy zapłonął mu rumieniec i odmalował się jakiś osobliwy wyraz. Steplton pokręcił głową, restaurator również rzucił okiem na studenta i rzekł do sąsiada:

— No, teraz lichy go weźmie. Mistrz nie będzie miał z nim kłopotu.

— Bij go, bij go! — zachęcali Mistrza jego zwolennicy.

Rozpoczęło się szesnaste starcie.

Dla wszystkich teraz było widoczne, że Mistrz zwycięży. Sportsmeni z Krockesley nie posiadali się z radości. Co tu dużo gadać, stary wytrawny szermierz zawsze osiągnie przewagę nad amatorem. Zewnętrzny wygląd atletów był dość zadowalający. Tylko twarz Mistrza trochę spuchła



w okolicy oka, Monthomeri zaś prezentował dwa czy trzy sińce. Twarz jego przybrała wyraz srogi, oczy miał błędne, na policzkach wystąpiły jaskrawe czerwone plamy od wypitej wódki. Stał naprzeciwko swego rywala, chwiejąc się nieznacznie. Wszyscy widzieli aż nazbyt wyraźnie, że młody zapaśnik wyczerpał się zupełnie. Jedno uderzenie wystarczyło, aby go zwalić z nóg. Zdobywał się na uderzenia tak słabe, że były one dla Mistrza nieszkodliwe zupełnie.

Ale krytyczny moment walki nastąpił. To starcie musiało rozstrzygnąć sprawę. Widzowie mieli pewność, że mistrz zwycięży. Rozległy się zewsząd uporczywe krzyki:

— Na ziemię go! Bij go dobrze!

Tym razem nawet surowy Steplton nie mógł opanować rozgorączkowanego tłumu.

Tłum jednak zawiódł się. Monthomeri ani myślał o przegranej i nadal zajmował pozycję wyczekującą, aż wreszcie sprzyjająca chwila nadeszła.

Wszak nie napróżno dostał nauczkę od swego bardziej doświadczonego przeciwnika. Czemż nie popróbować szczęścia? Może uda się wciągnąć Mistrza w zasadzkę w ten sposób, w jaki on to robił?

Sily Monthomeri były wyczerpane, ale nie w tym stopniu, jak to mniemali widzowie. Otuchy dodawała mu wódka, więc czuł, że przy sposobności dokona czegoś niezwykłego.

I oto zaczął rzucać się po arenie naoslep, doskonale udając zwyciężonego. Mistrz był pewny własnej wygranej i wyładował całą swą niepospolitą energję, chcąc przyspieszyć ostatecznie zakończenie walki. Zaczął więc bez wytchnienia atakować studenta, wpędzając go na sznury i wymierzał na prawo i na lewo swoje straszliwe uderzenia. Lecz Monthomeri był nazbyt ostrożny, aby wpaść pod jedno z takich uderzeń. Wykręcał się zwinnie i udawał w międzyczasie roztargnienie i beznadziejną rezygnację.

Mistrz zmęczył się i, ponieważ nie groziło mu już niebezpieczeństwo ze strony tak słabego przeciwnika, spuścił na krótką chwilę rękę. Z tego właśnie momentu skorzystał Monthomeri i nagle w powietrzu błysnęła jego prawa ręka.

Ten cios był wspaniały! Prosty, klasyczny, mocny, skupiający w sobie całą muskulaturę ciała. Uderzenie to ugodziło Mistrza akurat w miejsce najboleśniejsze, a mianowicie, w sam środek niegolonego podbródka. Tego rodzaju uderzenia mają moc decydującą. Nie wytrzyma ich ciosu żaden człowiek najbardziej silny i najlepiej zbudowany.



wany. Mistrz runął na ziemię plecami, a nogi załopotały mu w jakichś konwulsyjnych drgawkach z takim hałasem, jak gdyby mur spadał.

Na sali rozległy się dzikie okrzyki, wobec których Steplton był bezradny, nie mając już sił na powstrzymanie hałasu. Kulawy kolos leżał nawznak z podkuńczonemi trochę nogami; olbrzymia jego pierś pracowała ciężko. Podrzucał się, jak w przedśmiertnej agonji, ale nie mógł już wstać. Wzdrygnął się konwulsyjnie kilka razy, ale wysiłki były daremne!

Tymczasem rachmistrz oznajmiał:

— ...ośm, dziewięć, dziesięć! — i wycie tysięcy głosów zaświadczyło, że Mistrz z Krocksley został sromotnie pokonany.

Monthomeri stał oszołomiony i patrzył na stłoczoną przed nim gawieź. Nie pojmował nawet w tej chwili, jak to się mogło skończyć. Steplton dał znak ręką, wzywając zwycięzcę, tłum był przeraźliwie i bił brawa. A w tem Monthomeri dojrzał, że ktoś biegnie prosto do niego. Spozrzegł czerwoną oburzoną twarz i rozwiane promienie rudych włosów. Crzyjaś pięść ugodziła go w skroń tak silnie, aż runął tuż obok swego pokonanego przeciwnika. W tej chwili wpadło na arenę kilkanaście osób i rzuciło się na Anastazję. Monthomeri słyszał jeszcze nawoływania sędziego,

drapieźny pisk kobiety i wycie tłumu, ale stopniowo głosy te cichły, oddalały się, aż wreszcie student pograżył się w błogiej nieświadomości.

Ubierał się, jakby śniąc; również jak przez mgłę dojrzał Mistrza, który podszedł do niego, wyszczerzając uprzejmie resztę zębów, podobny do bezzębnego i potulnego buldoga.

— Jeszcze przed paroma minutami — rzekł — wyprawilibym cię z zadowoleniem na tamten świat, no, ale teraz co innego. Nie myśl, że będę mówił o tobie źle. Grzmotnąłeś mnie zdrowo. Takiego uderzenia jeszcze nie miałem od 1889 roku, kiedy walczyłem z Billy Edwardsem. A może zamierzasz doskonalić się w tej sztuce, he! Jeżeli potrzebujesz trenera, to jestem do usług. Na mnie możesz polegać. W tym zakresie mam doświadczenie i znam wszystkie sposoby, jak własne pięć palców. Może chcesz, to nauczę cię walki według starej metody, wiesz, tak bez rękawic, z gołymi rękami. Pamiętaj o tem — jestem do twych usług. Jeśli zechcesz, to pisz do mnie do fabryki.

Monthomeri podziękował i skłonił się. Wręczono mu płócienny woreczek ze stu dziewięćdziesięcioma suwrenami, z których dziesięć oddał Mistrzowi; Mistrz otrzymał również pewną część pieniędzy ze sprzedaży biletów wejścia.



Następnie wszyscy rozeszli się do domu. Wilson, Purwis i Fausett wsadzili Monthomeri tryumfalnie do powozu. Konie ruszyły. Droge na przestrzeni siedmiu kilometrów zalegały tłumy, które witały powracającego zwycięzcę entuzjastycznymi okrzykami: niech żyje!

Wilson był tak podniecony przeżytymi zdarzeniami, że wykrzykiwał:

— Prostu nie do uwierzenia! Podobną rzecz widziałem pierwszy raz w życiu! Wiesz pan, panie Monthomeri, w Barniegle jest pewien król, który ma o sobie zbyt wygórowane pojęcie. Byłoby dobrze, gdyby pana z nim zetknąć. Mister Purwis! Stawiam na Monthomeri, nieprawdaż?

— Ja śmiało stawiam dwadzieścia funtów!— podchwycił Purwis.

— Ja również — dodał Fausett i, wskazując na Monthomeri, wyrzekł tryumfująco:

— Czy wiecie, kto nam towarzyszy w powozie? Oto wszechświatowy champion średniej wagi.

Ale Monthomeri nosił się z myślą w sferze dalekiej od pochlebstw.

— Nie, panowie, obecnie muszę zająć się własnymi sprawami.

— Pozwoli pan, że zapytamy, co to za sprawy?

— Złożenie egzaminu na stanowisko lekarza.

W tym też celu potrzebowałem pieniędzy.

— Panie kochany — rzekł Wilson — doktorów posiadamy niezliczone mnóstwo, a ludzi takich jak pan brak okropny. Pan jest jedynym, który potrafił sćiąć z nóg takiego Mistrza z Krock-sley. A zresztą to sprawa pańska, osobista, nie nasza. W każdym razie po skończeniu egzaminu prosimy uprzejmie o przyjazd do nas. Posada lekarza w kopalni węgla Wilsona jest do pańskiego rozporządzenia.

Pożegnawszy się z przyjaciółmi, Montheri skierował się do apteki drogą okólną. Wjdocznie doktor dopiero powrócił, bo jeszcze stał powóz. Podobno podczas nieobecności studenta odwiedzało aptekę kilku pacjentów i z tego powodu Oldakr był w złym humorze.

Zwrócił się do wchodzącego Montheri głosem zmienionym, pełnym niezadowolenia.

— Bardzo, bardzo mi przyjemnie, że pan wróciłeś nareszcie, mister Montheri. Spodziewam się, że następnym razem nie weźmie pan urlopu na czas tak gorączkowej pracy.

— Przykro mi, sir, że z mojej winy znalazł się pan w tak kłopotliwym położeniu, — odrzekł Montheri.

— Istotnie, sir, byłem w położeniu niezmiernie kłopotliwym — odparł doktor i rzucił wzrokiem na twarz swego pomocnika.



— O, Boże! — zakrzyknął — a to co się panu stało w lewe oko?

Chodziło o sińca z rąk Anastazji.

Monthomeri roześmiał się.

— Ach, to głupstwo, sir!

— Ale i na brodzie ma pan sińca — ciągnął doktor do reszty rozstrojony — to okropne. Pan — że tak powiem — jesteś moim przedstawicielem i pozwalasz sobie spacerować po mieście z taką twarzą... Gdzież to pana... tak poturbowano?

— Wszak pan wie o tem, sir, że dzisiaj w Krocksley odbywała się walka na pięści?

— Czy to możliwe, aby pan znajdował się tam razem z tym ordynarnym tłumem?

— Tak, sir, nawet brałem w tej walce pewien udział.

— I któż to pana tak zeszpecił?

— Jeden z zapaśników.

— Kto mianowicie?

— Mistrz z Krocksley.

— O, Boże... Pan go zaczął napewno?

— Mówiąc otwarcie, zacząłem go troszeczkę.

— Ha, mister Monthomeri — zaczął wyniośle doktor — zmuszony jestem, oświadczyć panu, że mój zakład utrzymuje ścisły kontakt — że tak powiem — kontakt organiczny, z najbardziej postępowymi czynnikami w naszym niewielkim spo-

leczeństwie. Wobec takiego stanu rzeczy znajduję, iż niemożliwym jest...

W tej chwili rozległy się ostre dźwięki trąbki i pod oknami apteki zabrzmiała pieśń:

*„Oto jest ten, zwycięzca i bohater“.*

To orkiestra z Wilsonowskich kopalni węgla grała na cześć Monthomeri. Na ulicy było aż czarno od tłumu, górników. W sadzie powiewały sztandary o rozmaitych barwach.

— Co to jest? Co to znaczy? — wybuchnął wzburzony do głębi doktor.

— To znaczy, sir — odrzekł Monthomeri — że, korzystając z nadarzającej się sposobności, zdobyłem pieniądze, niezbędne mi dla dokończenia nauk. Pozatem muszę pana uprzedzić, sir, że w najbliższej przyszłości wyjeżdżam do Londynu. Dlatego radzę, sir, nie tracić czasu i wyszukać sobie odpowiedniego kandydata na moje miejsce.



### Władca Czarnego zamku.

Było to w tym czasie, kiedy niemieckie hordy zalewały Francję. Zdziesiątkowana armja młodej republiki odeszła za En na północ i za Loarę na południe. Od strony Renu wgląb kraju wdzierały się niepowstrzymane trzy fale uzbrojonych ludzi. Fale te oddalały się od siebie, to znowu zbliżały, mając na celu wspólne opanowanie Paryża, który należało okrążyć jakby pierścieniem ogromnego jeziora.

Następnie jezioro to dało początek oddzielnym potokom. Jeden z nich popłynął ku północy, drugi na południe, aż do Orleanu, trzeci na zachód, do Normandji. Wielu z żołnierzy niemieckich pierwszy raz ujrzało w swem życiu morze. Konie ich pławiły się w słonych wodach w pobliżu Dieppe.

Serca Francuzów targała rozpacz i oburzenie. Na ich przepięknym kraju wróg wycisnął piętno

hańby. Walczyli za ojczyznę, lecz byli pokonani. Bili się do ostatniej kropli krwi i nie mogli dać rady niezliczonym pułkom piechoty, tej kawalerji, tym śmiercionośnym armatom. Obcolemieńcy zawładnęli ich krajem i byli nieugięci w swym ogromie. Pozostała tylko, jako jedyny środek zbawienia, walka w pojedynkę. W ten sposób można było jeszcze coś zdziałać. Waleczny francuz mógł jeszcze zadać nienicowi plagi, aby ten pożałował dnia, w którym przekroczył brzeg Renu. I oto wybuchła nader osobliwa, nienotowana w kronikach bitew i oblężeń, wojna. Była to wojna jednostek, w której pierwszorzędną rolę odgrywało zabójstwo z za węgła i brutalna represja.

Zwłaszcza taka podstępna wojna dała się najgorzej we znaki dowódcy 24-go Poznańskiego pułku piechoty, pułkownikowi von Gramm. Pułk jego kwaterował w normandzkim miasteczku Less-Andeli, czołówki zaś i pikiety były rozesłane wokół miasta, po wioskach i dworach w okolicy. Jakkolwiek w pobliżu nie było wojska francuskiego, to jednak codziennie pułkownik odbierał nader nieprzyjemne raporty. Według tych doniesień pewnego razu został zabity żołnierz, stojący na warcie, to znowu innym razem przepadł oddział żołnierzy, wysłanych po żywność. Wiadomości podobne sprawiały, że pułkownik von Gramm do-



stawał napadu furji i z jego rozkazu płonęły domy, znajdujące się w pobliżu miejsca zbrodni, i wioskowi mieszkańcy dygotali ze strachu.

Ale te odwety nie odnosiły skutku, bo zaraz nazajutrz zaczynała się ta sama historia. Wszelkie przedsięwzięcia pułkownika spelzały na niczem i niewidzialnych wrogów nie można było zdławić. Poszczególne oznaki zbrodni kazały przypuszczać, że morderstw dokonywała jedna i ta sama ręka i że wypływały one z jednego źródła.

Gdy stosowanie gwałtu za gwałt nie dawało żadnego rezultatu, pułkownik uciekł się do złota. Oznajmiono wszystkim okolicznym włościanom, że ten, kto wskaże przestępcę, otrzyma pięćset franków nagrody. Ale na ogłoszenie to nie wpłynęła odpowiedź. Trzeba było podnieść nagrodę do wysokości ośmiuset franków, chłopci jednak i tym razem byli głusi. W tym czasie tajemniczy wróg zamordował kaprała, więc pułkownik znowu podwyższył nagrodę do tysiąca franków. Nareszcie za tę kwotę udało mu się podkupić duszę pewnego wyrobnika z fermy, nazwiskiem François Rejan, w którym chciwość przemogła niena- wiść do Niemców.

— Powiadasz więc, że znasz winowajcę tych wszystkich przestępstw? — zapytał pruski pułkownik, patrząc ze wstrętem na wyrobnika.

Przed nim stało indywiduum w niebieskiej bluzie, z twarzą podobną do szczura.

— Tak jest, panie pułkowniku, znam go.

— Co on za jeden?

— A jakże będzie z tysiącem franków?

— Nie otrzymasz ani grosza, dopóki nie sprawdzę, czy nie kłamiesz. Więc mów, kto mordował mych żołnierzy?

— Hrabia Eustachy z Czarnego Zamku.

— Łżesz! — krzyknął pułkownik ze złością — człowiek wykształcony i szlachcic nie popełniłby podobnego świństwa.

Chłop wzruszył ramionami.

Cóż robić, widzę, że pan, panie pułkowniku, nie zna hrabiego. Wszystkie te zbrodnie — to czyny rąk jego. Mówię prawdziwie i wcale się nie boję, że pan sprawdzi moje słowa. Hrabia z Czarnego zamku jest człowiekiem ogromnie okrutnym. Przedtem też był nie lepszym, ale teraz zrobiło się z niego poprostu zwierzę. Bo to, widzi pan, podziałała tak na niego śmierć syna. Syna mu wzięto do niewoli pod Doues. Stamtąd zawleczono go do Niemiec a później w czasie ucieczki zginął. Hrabia miał tylko jednego syna i śmierć jedynaka doprowadziła starego do obłądzenia. Wśród nas on uchodzi za obłąkanego. Zebrał swoich chłopów i zaczął polować na niemiecką armję.



llu zabił, nie wiem, ale mogę powiedzieć, że on na czołach wszystkich zabitych wyrzyna krzyż. Krzyż — to herb jego nazwiska.

François Rejan mówił prawdę. Wszyscy zabici mieli na czołach nad brwiami wyrżnięte jak-by myśliwskim nożem znaki w kształcie krzyża. Pułkownik pochylił się nad stołem i zaczął wodzić palcem po mapie.

— Czarny zamek oddalony jest stąd najwyżej o cztery mile — rzekł.

— Trzy mile, panie pułkowniku i kilometr.

— Znasz to miejsce?

— A jakże! Robiłem tam na dniówkę.

Pułkownik zadzwonił.

— Daj temu człowiekowi jeść i zatrzymaj go — zwrócił się do sierżanta.

— Za co mnie pan zatrzymuje panie pułkowniku? Ja wszystko wyznałem.

— Będziesz naszym przewodnikiem.

— Przewodnikiem?! A hrabia? Nie daj, Boże, dostać się w jego ręce! Och, panie pułkowniku!...

Pruski pułkownik ruchem ręki nakazał chłopu, aby zamilkł.

— Wezwij do mnie niezwłocznie kapitana Baumgartena — rzekł do sierżanta.

Kapitan zjawił się natychmiast. Był to czło-  
wiek w średnim wieku z niebieskimi oczami  
i niepomiernie rozwiniętymi szczękami. Twarz  
kapitana Baumgartena miała kolor ceglasto-czer-  
wony, z wyjątkiem górnej części, która zacho-  
wała biały jak słoniowa kość, kolor, będąc ochra-  
nianą od powietrza i słońca miedzianym kas-  
kiem. Rude wąsy miał źle podkręcone do  
góry, głowę zaś łąsą i błyszczącą jak lustro.  
Młodszy oficerowie dla zbytków skradali się za —  
jego plecami i, przeglądając się w jego łysinie  
podkręcali sobie wąsy. Kapitan uchodził za po-  
wolnego ale za to dzielnego i godnego zaufania  
oficera. Pułkownik polegał na nim bezwzględ-  
nie.

— Skieruje się pan, panie kapitanie, tej no-  
cy do Czarnego zamku — oznajmił mu pułkownik  
von Gramm — dostanie pan przewodnika. Trzeba  
aresztować hrabiego i przyprowadzić go tutaj.  
W razie oporu z jego strony, można go zabić.

— Ilu mam wziąć ludzi ze sobą, panie puł-  
kowniku?

— Jesteśmy zewsząd okrążeni przez szpiegów,  
więc trzeba pochwycić hrabiego, nie zwracając  
niczyjej uwagi. On nie powinien wiedzieć, że po-  
lujemy na niego. Gdyby pan wziął znaczną liczbę  
ludzi, wszyscy łatwo odgadliby nasze zamiary.

**Sanatorium Przeciwgruźlicze**

Samowządu Województwa Pomorskiego  
w Smukale, pow. Bydgoski



Z drugiej znów strony nie możemy ryzykować; mogą osaczyć pana.

— Panie pułkowniku, zrobię tak: Ruszę na północ, co każe przypuszczać, że wysłał mnie pan do generała Hebena, a następnie — proszę spojrzeć na mapę — skręcę na tę drogę i okrążymy Czarny zamek przedtem, zanim francuzi zdążą spostrzedz niebezpieczeństwo. Sądzę, że do wykonania tego planu potrzeba będzie nie więcej niż dwudziestu żołnierzy...

— Bardzo dobrze, kapitanie. Spodziewam się zobaczyć pana w towarzystwie jeńca, jutro z rana.

Była przejmująca zimnem grudniowa noc, kiedy kapitan Baumgarten i jego dwudziestu żołnierzy ruszyli z Less-Andeli wielką drogą w kierunku północno-zachodnim. Uszedłszy dwie mile, oddział skręcił na wąską leśną drożynę i przyspieszył kroku do wyznaczonego miejsca. Prószył drobny zimny deszcz a krople jego uderzały o konary wysokich topoli i szeleściły w zmartwiałej trawie mokradeł. Kapitan szedł na przedzie oddziału razem ze starym sierżantem Moserem, który trzymał silnie za rękę François Rejana. Przedtem jednak uprzedził francuza, szepcząc mu do ucha, że w razie nieoczekiwanego napadu pierwszą kulę karabinową wpakuje mu w skroń. Z tyłu cłapało po mokrej trawie dwudziestu piechurów,

chowając twarze przed deszczem i potykając się w ciemnościach. Żołnierze wiedzieli, dokąd i po co idą, i cieszyli się. Chcieli odwetować i pomścić śmierć swoich kolegów.

Z Less-Andelli oddział wyruszył około ósmej, a pół do dwunastej przewodnik zatrzymał go przed bramą. Brama była żelazna kratowana osadzona mocno pomiędzy dwoma słupkami o heraldycznych upiększeniach. Ściany rozpadły się oddawna, a kamienie pokryte były cierniowemi krzewami i trawą. Prusacy przedarli się w głąb i zaczęli posuwać się naprzód dębową aleją, zasypaną spadłymi liśćmi. Przeszedłszy aleję, zatrzymali się i rozejrzeli po okolicy.

Tuż przed nimi znajdował się Czarny zamek. Z za chmur deszczowych wyrztał na chwilę księżyc i oblał stary budynek srebrnym światłem. Dom miał kształty rzymskiej cyfry L. Pośrodku widać było niskie wejściowe drzwi. Rzędy maleńkich okien sprawiały wrażenie otworów armatnich. Ciemny dach zapadał się po rogach, na których wystrzelały ku górze cztery niewielkie wieżyczki. Dom pogrążony był w milczącej poświacie księżycy, jakby we śnie. W jednym tylko z okien dolnego piętra świecił samotny ogień.

Kapitan zaczął wydawać rozkazy szeptem. Jednych z pośród żołnierzy wyznaczył do pilno-



wania frontowego wejścia, drudzy mieli przedostać się i zakraść pode drzwiami od tyłu. Jedni stanęli na warcie w zachodniej części domu, drudzy — we wschodniej. Pułkownik zaś wziął sierżanta i podszedł na palcach do oświetlonego okienka.

Ujrzeni niewielki, skromnie umeblowany pokój.

Przy świetle ociekającej woskiem świeczki siedział w fotelu niemłody już człowiek, ubrany w szlafrok, i czytał postrzępioną gazetę. Tuż obok na stole stała butelka białego wina i opróżniona do połowy szklanka. Sierżant zastukał do okna końcem bagnetu. Starzec zapiszczał przejmująco i skoczył na równe nogi.

— Milczeć — lub śmierć. Dom okrążony. Uciekać niema dokąd. Proszę iść i otworzyć nam drzwi natychmiast. Jeżeli pan nie usłucha, oporu nie darujemy.

— Na miłość Boską, nie strzelajcie! Otwórzę drzwi! Otworzę drzwi!

I starzec ze zmiętą gazetą w ręku wypadł z pokoju. Za chwilę rozległo się zgrzytanie zamków, stuk poruszonych rygli i małe drzwi stanęły otworem. Prusacy wdarli się do sieni, wyłożonej kamienną posadzką.

— Gdzie jest właściciel Czarnego zamku, hrabia Eustachy?

— Mój pan? Niema go w domu.

— W nocy go niema? Jeżeli pan kłamiesz, to pożegnaj się z życiem.

— Mówię prawdę. Jaśnie pana niema w domu.

— A gdzie jest?

— Nie wiem.

— Co on teraz porabia?

— Tego nie mogę powiedzieć. Panie, pan daremnie celuje do mnie. Zabijcie mnie, jeśli chcecie, ale ja nic nie wiem, nic powiedzieć nie mogę.

— I czy w ten sposób w nocy hrabia często oddala się od domu.

— Często.

— A kiedy wraca?

— Przed świtem.

Kapitan brutalnie zaklął po niemiecku. Wszak napróżno zmarnował dzień cały. Odpowiedzi tego człowieka były szczerze i, oczywiście, zeznawał on prawdę. Zresztą było to do przewidzenia. Tak czy owak, trzeba było jednak przeszukać dom i przekonać się o nieobecności gospodarza. Ustawwszy wartę przy obydwu drzwiach, kapitan i sier-



żant udali się na poszukiwania za wyleknionym sługą. W jego rozstrzęsionych rękach podrygiwała świeczka i dziwaczne cienie latały po antycznych obiciach ścian i po ciosanym dębowym suficie. W ten sposób przeszukano cały dom, począwszy od wyłożonej kamienną posadzką kuchni, a skończywszy na jadalni drugiego piętra. Była to olbrzymia sala z chórem dla muzykantów; ściany miała pokryte poczerńiałymi od starości tarczami herbowymi w kształcie liścia topolowego. Zewsząd wiała pustka. Na ostatniem piętrze, na strychu, znaleźli sędziwą żonę służącego, Mary. Małżeństwo to było jedynymi sługami hrabiego. Sam zaś hrabia był nieobecny w domu, bo nawet nie dało się wykryć jego śladów.

Rewizja przeciągnęła się długo i zanim kapitan nie sprawdził zeznań służącego, upłynęło wiele czasu. Przejrzenie tego domu sprawiało olbrzymie trudności. Wązkie kręte schody, któremi nie sposób było iść we dwuch, przecinały ciemne, powykręcane korytarze. Ściany były tak grube, że od sąsiedniego pokoju nie przedostawał się żaden dźwięk. Kapitan Baumgarten tupał nogami, zdierał portjery, wtykał szablę w kąty, chcąc wykryć tajemne schowanka, ale poszukiwania te nie odniosły żadnego skutku.

— Mam pewną myśl — zwrócił się kapitan

do sierżanta — pan uważaj na tego zucha i nie pozwól mu na żadne z nikim rozmowy.

— Słucham, panie kapitanie.

— Czterech ludzi ukryje pan w zasadzce pode drzwiami frontowymi i tyłuż pod kuchennymi. Sprawa ma się tak, że o świtaniu ptaszek przyleci do swego gniazdka.

— A reszta żołnierzy, panie kapitanie?

— Niech idą do kuchni na posiłek. Ten człowiek powinien dać wam wina i mięsa. Ponieważ pogoda dziś podła, lepiej będzie, jeżeli noc spędzimy nie w drodze, lecz tutaj.

— A co pan ze sobą zrobi, panie kapitanie?

— Zjem kolację tutaj, w stołowym. Drzewo na kominku leży i napalimy sobie z łatwością. W razie trwogi pan mnie da znać. Hej, panie! Co mi pan dasz na kolację?

— Proszę pana, kiedyś mogłem odpowiedzieć na to pytanie: „Wszystko, co sobie pan życzy“, ale obecnie mogę poczęstować zaledwie butelką młodego klaretu i zimnym kurczęciem.

— Przypuśćmy, że i tego będzie dosyć. Poślij pan z nim żołnierza, panie sierżancie, a gdyby chciał spłatać jakiego figla, niech mu żołnierz wsadzi w brzuch bagnet.



Kapitan Baumgarten był starym służbistą. Przesłużywszy wiele lat we Wschodnich Prusiech i odbywszy czeską kampanję, osiągnął znakomicie sztukę komfortowego urządzania się w krajach nieprzyjacielskich. Zanim więc służący przyszykował kolację, ułożył sobie wszystko, aby mieć na noc wikwinny odpoczynek. Zapalił wszystkie dziesięć świec w kandelabrze, stojącym pośrodku stołu. Na kominie ogień już płonął, drwa traskały wesoło i wyrzucały co chwila kłęby błękitnego dymu. Kapitan podszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec. Księżyc znowu ukrył się w chmurach i padał gwałtowny deszcz. Słysać było głucho wycie wichru i szum drzew, uginających się pod jego naporem. Kapitan doznał przyjemnego wrażenia, że oto w tę burzliwą noc znajduje się w ciepłym, widnym pokoju, i z tym większą przyjemnością zabrał się do zimnego kurczenia i kłoretu, które mu podał służący. Po długim marszu i wałęsaniu się po domu uczuł zmęczenie i głód. Odpasał szablę, zdjął rewolwer i kask i, położywszy te rzeczy na krześle, wziął się z apetytem do jedzenia. Po skończonej kolacji nalał sobie szklankę wina, zapalił cygaro i, rozparty w fotelu, rzucił okiem dookoła.

Siedział tak objęty niewielkim kręgiem światła które igrało na jego srebrnych epoletach i rzucało

mu blask na twarz jak z terrakoty, na gęste brwi i rude wąsy. Za tym świetlanym kręgiem panowały cienie i mrok, że z trudnością dostrzegało się przedmioty, zapelniające pokój. Dwie ściany pokoju były zawieszane dębowymi tarczami herbowymi w kształcie liści topolowych, na dwóch drugich widniały spłowiałe gobeliny, przedstawiające polowanie na jelenia. Myśliwi i sfera psów pędziła za czmychającym zwierzęciem. Na heraldycznych tarczach były wyryte herby rodowe i pokrewnych rodzin. Szczególną uwagę zwrócił kapitan Baumgarten na fatalistyczny znak krzyża, odbijający się wyraźnie na heraldycznym tle pola.

Naprzeciwko kominka wisiały portrety czterech przodków hrabiego — ludzi o śmiałych ambitnych twarzach i orlich nosach. Odróżniały ich tylko stroje. Jeden miał na sobie ubiór rycerza z epoki krzyżowych pochodów, drugi wyglądał na kawalera czasów Frondy.

Kapitan Baumgarten zjadł wiele i uczuł pewną ociężałość żołądka. Rzuciwszy się na oparcie fotelu i puszczając gęste kłęby dymu, patrzył na te staroświeckie portrety i myślał o przewrotności losów w historii. Któżby to przewidział że on, spokojny obywatel Bałtyckiego pomorza, będzie spożywał kolację we wspaniałym zamku, w tej siedzibie dumnych rycerzy Normandji?



Kapitana objęło przyjemne ciepło idące z kominika, i oczy zaczęły mu się przymykać. Wreszcie głowa opadła na piersi a światło dziesięciu świec kandelabru wesoło zaigrało na jego błyszczącej łysinie. Nagle z tego snu obudziły go jakieś przytające odgłosy. W pierwszej chwili wydało się kapitanowi, że zeszedł ze ściany jeden ze staroświeckich portretów i przechadza się po pokoju. Przy stole, tuż obok, stał człowiek olbrzymiego wzrostu. Stał milczący i nieruchomy, do tego stopnia nieruchomy, że możnaby go wziąć za zmarłego, gdyby nie śmiały blask jego oczu. Miał czarne włosy i był wysmukły, z niewielką czarną brodą. Zwłaszcza charakteryzował go duży nos orli. Policzki miał pomarszczone, jak pieczone jabłko, ale wiek podeszły nie nadszarpnął mu jeszcze sił fizycznych. Świadczyły o tem szerokie ramiona i kościste, węzłowate ręce. Stojąc, skrzyżował na zapadłej piersi ręce i wargi miał rozsunięte w zastygłym uśmiechu. Prusak rzucił szybkie spojrzenie na krzesło, na którem złożył swoją broń, ale krzesło było próżne.

— Proszę być spokojnym i nie szukać, broni — rzekł nieznajomy. Jeżeli pan pozwoli, wypowiem swoje zdanie. Pan uczynił wielce nieostrożnie, goszcząc się w zamku, jak w domu, mimo, że posiada on tajemne wchody i wyjścia.

Może wyda się to panu śmiesznem, ale w tym czasie kiedy pan spożywał kolację, strzegło pana czterdziestu ludzi... Aha! a to co znowu?!

Kapitan Baumgarten, zacisnąwszy pięści, rzucił się przed siebie. Francuz podniósł prawą rękę, w której błysnął rewolwer, lewą zaś chwycił Niemca za piersi i cisnął go na fotel.

— Proszę, aby pan siedział spokojnie — rzekł — o żołnierzy swych niech się pan nie troszczy. Myśmy załatwili się z nimi należycie. Te kamienie podłogi są poprostu zadziwiające. Siedząc na górze, pan nic nie słyszy, co się dzieje na dole. Doprawdy, jesteś pan uwolniony od obowiązku dowództwa, teraz trzeba pomyśleć tylko o sobie. Pan pozwoli, że zapytam o godność?

— Jestem — Baumgarten, kapitan 24 Poznańskiego pułku piechoty.

— Pan doskonale włada językiem francuskim, chociaż pańska wymowa zdradza właściwą pańskim rodakom skłonność do przekręcania litery p na b. Śmieszyło mnie to ogromnie, gdy żołnierze krzyczeli: „*ayez bitié sur moi!*“ Pan zapewne już zgaduje, kto ma z panem przyjemność rozmawiać?

— Pan — hrabia z Czarnego zamku?

— Tak jest. Byłbym ogromnie zasmucony, gdyby pan opuścił ten zamek, nie poznawszy się



ze mną. Dotychczas tak się okoliczności składały, że zawsze miałem do czynienia z niemieckimi żołnierzami. Co zaś do panów ze stanu oficerskiego, to nie miałem dotąd szczęścia z nikim rozmawiać. Pan jesteś pierwszy, więc muszę naga-  
dać się z panem za wszystkie czasy.

Kapitan siedział w fotelu, jak zmrożony. Nie zaliczał się do kategorii lękliwych, ale ten człowiek działał na niego prosto hipnotycznie — uczuwał strach, dreszcze biegały mu po plecach. Rozglądał się wzrokiem roztargnionym wokół siebie, szukając broni. Walczyć bez oręża z tym wielkoludem, który rzucił go do fotelu, jak dziecko, było bezskutecznem.

Hrabia wziął pustą butelkę przejrzał ją pod światło.

— Oj, oj, oj! Czy to doprawdy Piotr nie mógł pana czemś lepszem poczęstować? Wstydzę się prosto spojrzeć na pana, panie kapitanie. Zresztą zaraz naprawimy tę niezręczność.

Włożył do ust gwizdek, który miał przy sobie na piersiach. Na to wezwanie zjawił się niezwłocznie stary sługa.

— Chamberten z działu № 15! — krzyknął hrabia.

Po chwili wszedł znowu służący, niosąc ostrożnie szarą butelkę, pokrytą pajęczyną. Hrabia napełnił dwie szklanki.

— Proszę pić—rzekł—to lepsze wino z mojej piwnicy. Takiego chambertena pan nie znajdzie nigdzie od Roina do Paryża. Proszę pić, łaskawy panie, za pomyślność. Mam jeszcze zimne mięsiwo i dwa świeże homary, które mi niedawno dostarczono. Pozwoli pan, że mu zaproponuję drugą, bardziej wyszukaną, kolację?

Niemiecki oficer potrząsnął głową przecząco ale szklanekę napełnioną przez gospodarza wychylił do dna. Hrabia nalał powtórnie i zaczął gościa namawiać do jedzenia, proponując mu różne smaczne dania.

— Wszystko to znajduje się w tym domu, na pańskie rozkazy — mówił — niech pan tylko wydaje polecenia. Odmawia pan, no to jak się panu podoba. Proszę jednak wypić wino a ja opowiem coś nowego. Oddawna już pragnąłem opowiedzieć pewną historję niemieckiemu oficerowi. Opowiem panu o moim synie Eustachym, jedynaku moim, którego wzięto do niewoli i który potem podczas ucieczki zmarł. To ogromnie zajmująca historyjka i zdaje mi się, że mogę pana upewnić, iż pan jej nigdy nie zapomni.

Muszę panu powiedzieć, kapitanie Baumgarten, że syn mój służył w artylerji. Był to piękny chłopiec i matka słusznie patrzyła nań z dumą. Umarła w tydzień po tem, jak dowiedzieliśmy się



o jego śmierci. Wiadomość tę przyniósł nam jego kolega, oficer. Obadwaj dostali się do niewoli i razem stamtąd uciekali. Tamtemu udało się uciec, a mój chłopiec zmarł. Opowiem panu, panie kapitanie, wszystko to samo, co mi tamten oficer zakomunikował.

Eustachego wzięto do niewoli w Weissenbergu, 4-go sierpnia. Jeńców podzielili na partje wysłali różnemi drogami do Niemiec. Nazajutrz Eustachego przyprowadzono do wsi Lautenburg. Starszy oficer niemiecki zachował się względem niego bardzo łaskawie. Ten właśnie dobry pułkownik zawezwał mojego zgłodniałego chłopaka na kolację do siebie, proponował mu wszystko do jedzenia, co mógł, odkorkował butelkę dobrego wina — jednym słowem postąpił z moim synem tak samo, jak ja z panem. W końcu poczęstował go cygarem. Czy mogę prosić pana, panie kapitanie, abyś wybrał sobie cygaro?

Niemiec pokręcił głową odmownie. Zaczynał go przejmować strach. Dziwaczny gospodarz zamku miał usta uśmiechnięte, ale oczy jego pały nienawiścią.

— Tak — ciągnął hrabia — ten pułkownik był dobry dla mojego chłopca. Ale niestety, nazajutrz odesłano jeńców do Etlingen, z tamtej strony Renu. Tam nie powiodło się im. Jeden

z oficerów, kapitan Baumgarten, który doglądał jeńców, był brutalny i niegodziwy. Znajdował zadowolenie w poniżaniu i uwłaczaniu godności dzielnych oficerów, którzy znaleźli się w jego władzy. Mój syn zareagował w sposób niegrzeczny na znęcanie się kapitana, a ten uderzył go prosto w oko... O, tak uderzył!

W pokoju rozległ się odgłos silnego uderzenia. Niemiecki oficer zasłonił twarz rękoma i przez palec przeciekła mu krew. Hrabia znowu usiadł w fotelu i ciągnął dalej:

— Uderzenie to zeszpeciło twarz mego chłopaka, i ta okoliczność dała powód do nowych gwałtów ze strony oficera. I rzeczywiście, panie kapitanie, ma pan w tej chwili twarz ogromnie śmieszna. Gdyby pana ujrzał pański pułkownik, wówczas domyśliłby się napewno, że pan brał udział w przyzwoitej awanturze. Wracam jednak do swego opowiadania. Młodość i nieszczęśliwe położenie mego syna wzruszyły serce pewnego szlachetnego majora, który pożyczył mu na słowo honoru dziesięć napoleondorów. Te złote monety zwracam panu, panie Baumgarten. W inny sposób zrobić tego nie mogę, ponieważ nie znam nazwiska uczciwego majora. Jestem głęboko, serdecznie wdzięczny za to uczciwe traktowanie mego syna.



Złośliwy tyran jednak towarzyszył jeńcom w dalszej ich drodze do Durlach a następnie do Karlsruhe. Syna mego nie przestawał krzywdzić i dokuczał mu wszelkimi sposobami. Najbardziej oburzało go to, że mój syn był hardy. Nie chciał okazywać względem Niemca udanej pokory, był dumny, miał w sobie ducha Czarnego zamku. A wie pan, cò wyrabiał z mym synem ten podły niegodziwiec? O, przysięgam, że krew jego splami jeszcze moje ręce!... Obdarzał mego syna policzkami, bił go, wrywał mu włosy z wąsów. Postępował z nim... tak oto... tak oto... i znowu oto tak...

Daremnie kapitan Baumgarten usiłował wyrwać się i szukać ratunku. Był bezradny w żelaznych rękach tego straszego kolosa, który poniewierał nim w najohydniejszy sposób. Gdy narreszcie podniósł się na nogi, hrabia ponownie ciągnął go do fotela. Kapitan był cały okrwawiony. Krew zalewała mu oczy, nie widział nic przed sobą.

Mimo oburzenia i wstydu nieszczęsny kapitan zapłakał teraz głośno.

— Tak samo i mój syn płakał, będąc bezsilnym i poniżonym — ciągnął władca Czarnego zamku. Sądzę, że pan teraz doskonale rozumie, jak straszną mękę znosił Eustachy w ręku brutalnego wroga, pozbawionego sumienia. Ale syn

mój przybył wreszcie do Karlsruhe. Twarz miał zupełnie zeszpeconą przez złego dozorcę. Tam przyszedł mu z pomocą pewien młody oficer bawarski. Panie kapitanie, pan ma okrwawione oczy. Pozwoli mi pan, że obmyję go zimną wodą i przewiążę mu twarz tą oto jedwabną chusteczką?

Hrabia podszedł do Niemca, ale ten odsunął go.

— Jestem w pańskiej władzy, potworze! Pan możesz wyprawiać sobie ze mną, co mu się podoba, ale pańskie fałszywe miłosierdzie jest nie do zniesienia.

Hrabia wzruszył ramionami.

— Pan jesteś w błędzie — rzekł — wszak opowiadam o wypadkach z zachowaniem następującego po sobie porządku. Dałem sobie słowo, że historję mego syna przedstawię pierwszemu oficerowi niemieckiemu, z którym zdarzy mi się pogawędzić, tête-à-tête. Ale na czem to stało? Aha, na bawarskim oficerze z Karlsruhe. Bardzo mi przykro, panie kapitanie, że nie chce pan skorzystać z mej niewielkiej znajomości medycyny... W Karlsruhe osadzono mego syna pod kluczem w starych koszarach, w których przebywał dwa tygodnie. Wieczorem siadywał w oknie swojej celi, a ordynarne garnizonowe szczury zne-



cały się nad nim; były to najgorsze chwile w Karlsruhe. Ale zdaje mi się, że obecnie nie ma pan, panie kapitanie, posłania z róż? Zamierzał pan zgładzić wilka, a oto wilk chwycił pana za gardło zębami i trzyma, nieprawdaż? Jak ładnie ma pan wyhaftowaną koszulę, czy to czasem nie żona pańska haftowała? Żal mi pańskiej żony, ale cóż robić? O jedną wdowę więcej, o jedną wdowę mniej — to wszystko jedno! Zresztą ona potrafi wyszukać sobie szybko pocieszyciela... Dokąd chcesz iść, psie niemiecki, siedź spokojnie! Więc, ciągnę dalej swą opowieść. Po dwutygodniowym odsiadywaniu w koszarach mój syn i jego kolega uciekli. Nie będę panu rozwodził się o tych niebezpieczeństwach, na które byli narażeni, ani o tych wypadkach nędzy, którą musieli znosić. Dość będzie, gdy powiem, że szli w przebraniu chłopów, których szczęśliwym jakimś trafem spotkali w lesie. W dzień ukrywali się gdziekolwiek, w nocy zaś odbywali podróż. W ten sposób dotarli do Remilies we Francji. Pozostała tylko mila, jedna tylko mila, panie kapitanie, ażeby dotrzeć do miejsca bezpiecznego. Ale akurat w tym czasie przyłapał ich patrol ułanów. Ach, jakże to było przykre, nieprawdaż? Podobnie łódź pielgrzyma może uleść rozbiciu pod przystanią.

Hrabia gwizdnął dwa razy i do pokoju weszło trzech ogromnych chłopów.

— Ci włościanie odegrają rolę moich ułanów — rzekł hrabia. — Ciągnę swoją historję: kapitan tych ułanów spostrzegł odrazu, że ma do czynienia z francuskimi oficerami, przebranymi po cywilnemu, i rozkazał ich powiesić bez sądu i śledztwa... Jean, sądzę, że środkowa belka nada się najlepiej!

Przez jedną z belek u sufitu przerzucono sznur z pętlą. Nieszczęsnego kapitana chwyciły czyjeś ręce, zaciągnęły... Jeszcze chwila — i sznur skrępował mu szyję. Chłopi ujęli sznur za koniec i zatrzymali się, czekając na dalsze rozkazy. Oficer, cały błądy, ale spokojny skrzyżował ręce na piersiach i wyzywająco spojrzął na swego oprawcę.

— Pan teraz znajdujesz się w obliczu śmierci, panie kapitanie — wyrzekł hrabia — usta pańskie drżą, mniemam, że pan się modli. Mój syn tak samo odmawiał modlitwę, gotując się na śmierć. Modlitwa mego syna, który wspominał matkę, wzruszyła go... wszak sam był ojcem... Rozkazał żołnierzom, aby odeszli, sam zaś został z osądzonymi na śmierć, mając przy sobie tylko adjutanta. Dowiedziawszy się od mego chłopca o wszystkim i o tem, że on jest jedynym synem starego rodu



i o tem, że matkę ma chorą — zdjął mu sznur z szyi. Następnie pocałował go w oba policzki... Ja również pana całuję... Potem generał zwolnił mego syna i jego kolegę, dając im swobodę kroków... i ja pana też zwalniam. Życzę panu również wszystkiego tego najlepszego, czego życzył memu synowi tamten szlachetny generał... Niestety, życzenia te nie ocaliły mego syna od złośliwej febry, która zawlekła go do grobu.

W ten sposób kapitan Baumgarten wy dostał się z Czarnego zamku zakrwawiony i z twarzą straszliwie zeszpeconą. Był przejmujący chłodem grudniowy poranek, mżył deszcz i pod stopami kiło błoto.

### Lisi król.

Opowiadanie to słyszałem na pewnym myśliwskim obiedzie. Przy stole siedziało kilku gentlemanów nie tylko w czarnych, ale i w czerwonych żakietach. Po skończonym deserze zaczęliśmy palić cygara i rozmawiać o koniach i polowaniu. Przypominaliśmy sobie dziwaczne nagonki, jak na przykład ta, kiedy lisom udawało się zmylić ślady i wyprowadzić psy i myśliwych z jednego końca hrabstwa na drugi. Te dzielne lisy bywały w końcu dopędzane przez dwa lub trzy utykające psy i przez pieszego dojeżdźacza. Reszta pozostawała zawsze w tyle i nie mogła przyjąć udziału w tak uroczystym akcie.

Prowadząc podobne rozmowy, goście popijali portwejn, a w miarę, jak pili, opowiadania ich stawały się coraz bardziej fantastyczne. Teraz przytaczano takie wypadki, kiedy myśliwy pochłonięty całkowicie gonitwą za lisem, znajdował się



nagle i zgoła nieoczekiwanie — w nieznanym mu kraju. W opowiadaniach tych lisy przeżywały zdarzenia nie tyle zdumiewające, ile niezwykle. Pewien lis, uciekając przed psami, wdrapał się na wysoką wierzbę i ukrył w jej gałęziach; inny, bardziej przebiegły, dla uniknięcia niebezpieczeństwa wpadł do stajni, należącej do pewnego zamku i dopiero trzeba go było wyciągać ze żłobu za ogon; inny znowu wbiegł przez uchylone drzwi do jakiegoś domu, włożył damski kapelusz i zmyliwszy w ten sposób czujność psów, które go wzięły za żonę myśliwego — uniknął niebezpieczeństwa.

Gdy goście skończyli swe fantastyczne opowiadania, zabrał głos sam gospodarz, opowiadając nam o dwu nad wyraz ciekawych wypadkach ze swej przeszłości myśliwskiej. Zwłaszcza zainteresował nas drugi wypadek. Ponieważ gospodarz zaczął długo pokasywać i chrząkać, przeto byliśmy pewni, że usłyszymy wiele rzeczy istotnie zajmujących. Nasz gospodarz był wielkim smakoszem i zawsze przekładał lepsze na potem. W danej chwili miał w sobie dużo powagi i okazywał pewne zdenerwowanie. Nie ulegało wątpliwości, że zamierzał olśnić słuchaczy czemś bardzo zajmującym.

— Zdarzyło się to w tym czasie, kiedy nie

miałem w swem posiadaniu tego majątku — zaczął gospodarz. — Psy wtedy miał sir Charles Adyr od niego przeszły one do starego Lazoma, od Lazoma — do mnie. Zresztą być może, że ta historia rozegrała się za Lazoma.. Chociaż, nie, nie, zdarzyło się to za Adyra. Tak, za Adyra, na początku lat siedmdziesiątych, mniej więcej w siedmdziesiątym drugim roku.

Człowiek, o którym będę opowiadał, mieszka obecnie gdzieindziej, ale sądzę, że wielu z pośród panów pamięta go. Nazywano go Danbury, Walter Danbury. Myśmy go przezwali poprostu Wat. Był on synem starego Jos Danbury z Górnego Askombu. Po śmierci ojca Wat odziedziczył przyzwoitą fortunę, ponieważ, jak się okazało, był jedynym spadkobiercą. Brat jego, jeżeli go sobie przypominacie, utonął, gdy poszła na dno „Wielka Chartia“. Majątek Wata wynosił ogółem kilkaset akrów, natomiast ziemia była prześliczna, a w tym czasie, wiecie panowie, uprawianie ziemi było złotym interesem. Przy tem na majątku nie ciążyły długi, co już ma doniosłe znaczenie. W niezadłużonym majątku, jak to mówią, farmer żyje jak u Boga za piecem. Ale dawne to lata. Obecnie, kiedy cena pszenicy spadła, wszystko idzie inaczej... Tak, gentlemani, zagraniczna pszenica i telegraf — to dwie plagi, pod którymi jęczy



nasza ojczyzna. Ziarno tanieje, a kupujący, dzięki telegrafowi, orjentuje się szybko w cenach.

Otóż ten młody Wat Danbury był jedynym pod każdym względem chłopcem. Konno jeździł znakomicie, a myślistwo kochał do szaleństwa. Ale, jak wam wiadomo, niebezpieczną jest nieraz rzeczą powierzać zbyt młodym ludziom znaczną fortunę, ponieważ młodzi ludzie nie mają doświadczenia i nie umieją należycie oceniać pieniędzy. Pod tym względem i Wat nie był wolny od grzechu. Jakoś głowę sobie zawrócił i pewien czas prowadził się rozwięzle. Nie powiem, aby oddawał się jakim występkom. Broń Boże! W tych czasach było ogromnie modne w naszych okolicach pijaństwo. Młodemu Danbury'emu tylko w to graj! Ponieważ był młodzieńcem towarzyskim, więc stronić od kolegów nie lubił, owszem naśladował ich we wszystkim. W ten sposób wciągnął się w pijatykę i pił więcej, niż tego wymagano.

Zapewne wiecie panowie o tem, że używanie trunków w dowolnej ilości nigdy nie zaszkodzi, o ile picie odbywa się wieczorem po wstrzeźliwym spędzeniu dnia. Tego warunku Danbury nie mógł dotrzymać, a to ze względu, że otaczało go zbyt wielu przyjaciół. Więc korzystał z częstej okazji do picia, a tak pił, że wiele już osób miało go za człowieka zupełnie straconego.

Właśnie w tym czasie wydarzył się ten zabawny wypadek. Los sprawił Watowi tak pouczającą kąpiel, że ten poprzysiągł sobie raz na zawsze, iż nie tknie nawet butelki whisky.

Zwyczajem większości ludzi, Wat dokonywał na swem zdrowiu najrozmaitsze doświadczenia, nie troszcząc się wcale o następstwa. Ale najbliższe niedomaganie przejmowało go do głębi i czyniło zeń bezprzykładnego tchórza. Zresztą takie momenty przeżywał dość rzadko. Spędzając całe lata na otwartem powietrzu, Wat był zdrow, jak tur, i rozkoszował się zdrowiem, zaprawdę godnem pozazdroszczenia.

Whisky jednak dokonała swego i pewnego pięknego poranku młodzieniec spostrzegł, że jest z nim źle. Ręce ma roztrzęsione i każdy nerw w nim drga, jak nazbyt naprężona struna skrzypiec. W wigilję tego dnia spożył obiad w źle ogrzanem mieszkaniu i przeziębził się trochę. Ale i wino, które tam pił, widocznie było nieszczęśliwe. Jednem słowem zaniemógł troszeczkę.

Wat przeląkł się: język ma szorstki, jak kąpielowy ręcznik, a w głowie cyka mu zegar uderzając wahadłem to tę, to ową stronę. Pomyślał, co za nieszczęście go dotknęło i wnet posłał po doktora Middltona, rodzzonego ojca Middltona który obecnie odbywa praktykę w Askombie.



Trzeba nadmienić, że Middleton był starym przyjacielem nieboszczyka Jos Danburego i ogromnie gorszył się tym, że syn jego przyjaciela prowadzi żywot tak oplakany. Postanowił więc skorzystać z choroby Wata i wprowadzić go na drogę moralną. Zbadawszy dokładnie młodzieńca, doktor zrobił poważny wyraz twarzy i wygłosił tyradę o zgubności napojów wysokowych. Pokręcił smutnie głową, powiedział coś o możliwości białej gorączki, co gorsza, o beznadziejnem pomieszaniu zmysłów. Wata ogarnęło śmiertelne przerażenie.

— Czy doprawdy niema ratunku i narażony jestem, na pomieszenie zmysłów? — zawołał rozpatrzliwie.

— Hm... trudno orzec, nie wiem — odrzekł z powagą doktor — w każdym razie nie mam prawa wyrokować, że panu nic nie grozi. Ma pan nerwy ogromnie rozstrojone. Na dobrą sprawę, w ciągu tego dnia mogą wystąpić symptomy tej choroby, o której wspomniałem. Trzeba czekać do wieczora.

— A jeżeli przed wieczorem nic takiego nie zajdzie, to czy mogę liczyć na wyzdrowienie?

Doktor pomyślał trochę i odrzekł:

— Nic panu nie będzie groziło, ale pod wa-

runkiem, że w ciągu całego dnia nawet nie powącha pan alkoholu.

Doktor przyznał w duchu, że pewne zastraszanie pacjenta będzie miało zbawienne skutki.

— A jakież to są symptomy? — zapytał pokornie Danbury.

— *Delirium tremens* — odparł Middleton — zaczyna się od złego funkcjonowania organów ocznych. Potem nastąpią męczące halucynacje.

— O, Boże, już jestem chory. W oczach migają mi czerwone światełka!

Doktor, widząc, że słowa jego odniosły pożądaną skuteczną, jął go teraz pocieszać.

— No, światełka to głupstwo — żółciowe zaburzenia. W białej gorączkę zwykle przedmiotu przeistaczają się w owady, żmije i nieznanne dziwaczne zwierzęta.

— A gdyby mi stanęły w oczach te owady, to co mam robić?

— Zawezwij pan mnie — odpowiedział doktor i, przyobiecawszy mu przynieść lekarstwo wyszedł.

Po wyjściu doktora młody Wat Danbury wstał i zaczął rozglądać się naokoło. Był przygnębiony i nieszczęśliwy i zdawało mu się, że przeniesiono go do szpitala dla umysłowo chorych. Wprawdzie doktor zapewniał, że o ile do



wieczora nie wystąpią żadne nieprzyjemne symptomy, to wszystko przejdzie pomyślnie — ale któż odgadnie, jaki będzie koniec tego dnia? Do wieczora było jeszcze daleko, a już Wat spoglądał na zwykły przyrząd do zdejmowania obuwia ze strachem. A nuż ten przyrząd przeistoczy się nagle w potwornego pająka albo w jaką poczwarę?! Zaiste, Wat przeżywał minuty i godziny, pełne nieopisanego lęku. Wreszcie wyczerpała mu się cierpliwość i zapragnął wyjść z tego dusznego pokoju na świeże powietrze. Pocóż więc sterczy w tej dusznej atmosferze, kiedy zaledwie w odległości pół mili od jego domu Askomb urzęduje polowanie? A wszak jest to już obojętne, gdzie Wat Danbury doczeka się symptomatów białej gorączki: tutaj, w pokoju, czy też w polu, na koniu? Przytem bolała go głowa i musiał stanowczo zaczerpnąć świeżego powietrza.

Decyzję swą wykonał szybko. Po upływie dziesięciu minut miał już na sobie strój myśliwski, po upływie zaś następnych dziesięciu minut siedział w siodle. Pochłaniając z przyjemnością świeże powietrze, Wat wyruszył w pole na swej ulubionej klaczy Matyldzie. Zrazu osłabiony przeżyciami dnia trzymał się w siodle niepewnie, ale wkrótce wróciły mu siły. Byłby czuł się lepiej, gdyby nie ostrzegające słowa doktora co do obja-

wów białej gorączki. Przyłączywszy się jednak do towarzystwa w Granel - Hanger, Wat zapomniał o przepowiedni Middltona. Psy zaledwie były spuszczone. Pogoda najbardziej sprzyjała polowaniu. Nie było ani wiatru, ani deszczu, grunt zaś miał w sobie dość wilgoci, aby psy, nie zbijając się z tropu, goniły za zwierzęciem. Myśliwych zjechało się conajmniej czterdziestu — doskonaleni w sztuce polowania i brawurowi jeźdźcy. Powoli, cała kawalkada dotarła do Black-Hanger. Twarze wszystkich promieniały radością, wiedzieli bowiem, że znajdą tutaj niezliczoną moc lisów.

W owych czasach, proszę panów, Anglja posiadała wspaniałe lasy, w których mnożyły się lisy. Co zaś dotyczy Black - Hanger, to zagajnik ten ciemny i gęsty, poprostu trząśł się od lisów. Najtrudniej było wypędzić lisa z zarośli, ale skoro został wypędzony, to wtedy — hulaj dusza! Tropienie lisów w owym czasie obfitowało w niezwykle wesołe momenty.

W Black - Hanger myśliwi zaczęli zajmować stanowiska. Jedni z pośród nich zagłębili się śladem psów do lasu w poszukiwaniu zwierza, drudzy czatowali na leśnych drożynach, inni wreszcie zostali w polu, oczekując na lisa, wypłoszonego z zarośli.



Młody Wat Danbury znalazł tę miejscowość, jak własne pięć palcy. Zagłębił się w zagajniku i stanął w miejscu, gdzie zbiegało się kilka leśnych drożyn. Wyglądał zwierza z niecierpliwością; czuł, że gonitwa z przeszkodami wyjdzie mu na dobre. Klacz Matylda również pojmowała doniosłość zadania. Wszak znano ją jako najlepszego kłusaka w całym hrabstwie. Dodać muszę, że ślicznem była zwierzęciem. Szeroka, koścista posiadała niezwykłą siłę i wytrzymałość. Wat był dobrym jeźdźcem, ważył razem z siodłem nie więcej nad sto czterdzieści funtów, nic też dziwnego, że nikt nie miał odwagi stawać z nim w zawody.

Otóż młody Danbury stał na leśnym manowcu, oczekując na zwierza i przysłuchując się krzykom łowczego i dojeżdźców. Czasami w krzakach błysnęły ogony i jasno-kasztanowe grzbiety psów. Pojedyńcze i przyciszone naszczekiwanie dawały znać, że w zagajniku pracuje dobrze wytresowana sfera.

Wtem jeden z psów zawył przeciągle, inne podchwyciły to wycie i w kilka chwil potem cała sfera psów z wysuniętymi językami i spuszczo-nemi do ziemi łbami pognęła świeżym śladem, mijając Danbury'ego i ginąc w gąszczach. Za psami pokłusowało trzech dojeżdźców w czerwonych zakietach. Wat pchnął Matyldę strzemionami i po-

pędził za nimi. Jechali lasem na przełaj, skraca-  
jąc sobie drogę, pochyleni do łbów końskich, ale  
gałęzie drzew były ich po twarzy. Ogromnie trud-  
ną jest rzeczą ściganie zwierza w lesie, gdyż trze-  
ba pilnie zważać, aby koń nie zaplątał się w wy-  
stających i powikłanych korzeniach drzew i nie  
złamał nogi. Ponadto w lesie panuje mrok i my-  
śliwy musi pilnie baczyć, aby mieć stale przed  
oczyrna sunącą naprzód sforę.

Psy nie ustawały w pogoni i wkrótce las  
zaczął przerzedzać się. Kawalkada znalazła się  
w głębokiej kotlinie, którą przecinała rzeka. Przy-  
jemnie było mknąć po zielonej murawie wzdłuż  
brzegu, któredy biegły psy z nieopisaną szybkoś-  
cią w odległości dwustu jardów. Reszta myśli-  
wych, okrążywszy las zbliżała się z lewej strony,  
ale Danbury z dojeżdżaczami pędził przodem.  
Wkrótce przyłączył się do niego pastor Jeddls, na  
lichym gniadym koniku, i squize Foley, który miał  
zwyczaj używać do polowania kłusaki myśliwskie  
z rasy zdyskwalifikowanych na Newmarktyjskim  
jarmarku. Mimo wysiłków reszta myśliwych nie  
mogła nadążyć za Watem i przodującymi dojeź-  
dżaczami, którzy pędzili szalonym galopem, zbli-  
żając się w prostej linii lotem ptaków, do połu-  
dniowych diun i morza. Śliczna to była gonitwa!  
Ale lisa, na którego polowano teraz, nikt



jakoś nie widział. Nie słyszano również, aby ktokolwiek krzyknął „hallo!“, co oznaczałoby, że zwierzę pokazało się. Zresztą nic dziwnego, bo miejscowość była mało zaludniona a po drodze nikogo nie spotykano.

Tak więc awangardę stanowiło sześć osób: pastor Jeddls, squize Foley, łowczy, dwóch dojeźdźczy i Wat Danbury, który zapomniał już o posępnej przepowiedni doktora, o białej gorączce i o wszystkim na świecie. Konie mknęły, dotykając zaledwie ziemi. Ale jeden z dojeźdźczy musiał zawrócić, aby spędzić spóźnione psy, więc zostało w awangardzie tylko pięciu. Wkrótce potem zwolnił biegu squize Foley, który ze względu na dychawicznego konia wołał znajdować się w tyle. Pozostali myśliwi nie dali za wygraną i przemknęli cztery czy pięć mil w szalonym pędzie brzegiem rzeki. Ponieważ po wilgotnej zimie była odwilż, konie ślizgały się, wyrzucając z pod kopyt strumienie wody i błota.

Wreszcie przeciął im drogę most. O zwykłym polowaniu nie było już mowy, tylko czterej myśliwi zostali panami położenia. Lis wpadł na most. A wiecie panowie, że lisy nie znoszą zimnej kąpieli i w tym wypadku podobne są do ludzi, którzy nie lubią niepotrzebnie marznąć. Więc ów lis puścił się przez most i czmychał na południe.

Rozciąga się tam miejscowość nadzwyczaj nierówna, trzeba zwalzać po drodze różne przeszkody a przytem drogę zasłaniają różne wzgórza. Zaledwie wdrapie się człowiek na górę i spuści na dół, już znowu wyrasta przed nim góra. Trudno orzec, panowie, co koniom bardziej dogadza, czy wdrapywanie się na wzgórza, czy też schodzenie z góry. Nadają się do tego koniki przyziemne, niskiego wzrostu, krótkonogie, ale nasze klusaki o długich nogach mają po temu najmniej danych. Dlatego pierwsza zrezygnowała gniada klacz pastora Jeddlsa. Daremnie pastor używał różnych wybiegów i niemal włożył koniowi na głowę — zanim stanął na wzgórzu, było już zapóźno. Świećto bliwy ten mąż musiał wkrótce zaniechać dalszej pogoni.

Zostało zatem trzech: łowczy, dojeżdżacz i Wat Danbury. Wszyscy ci trzej pędzili naoslep. Droga była coraz gorsza i zalegały ją coraz częstsze góry, porośnięte cierniowemi krzewami i jałowcem. Konie potykały się co chwila, nogi im wpadały w nory królików. Psy jednak pędziły naprzód bez wytchnienia pewne siebie, myśliwi zaś dokładali wszelkich starań, aby nie stracić ich z oczu. Bądź co bądź lisa nikt nie widział, choć wnosząc z zawziętości psów, należało przypuszczać, że zwierzę to znajdowało się w pobliżu. Nagle



Wat Danbury usłyszał trzask i coś go uderzyło w łokieć. Obejrawszy się za siebie, zobaczył wyrzucone w górę myśliwskie buty, uwikłane w cierniowych gałęziach. To potknął się koń dojeżdźca wycofując w ten sposób swego jeźdźca z szalonej jazdy... Danbury i łowczy powstrzymali swe konie na chwilę, ale widząc, że dojeżdźca wstaje bez poważnego szwanku, pomknęli znowu naprzód.

Łowczy Jos Clark był znakomitym jeźdźcem: znano go i wychwalano w pięciu sąsiednich hrabstwach. Ale tym razem zbyt zaufał sobie i wziął na polowanie klacz zapasową, która, jak to ponom wiadomo, zawsze zdradzi w ostatniej chwili. Zresztą ten koń miał wiele dobrych zalet i powodowany przez doświadczonego jeźdźca szedł znakomicie. Ale Wat Danbury osiągnął przewagę. Jego samopoczucie i humor myśliwski powracały do stanu normalnego, a jak to zwykle bywa usposobienie jeźdźca udziela się w znacznym stopniu i koniowi. To też silna i wypróbowana klacz Matylda poprostu mknęła lotem błyskawicy. Jej pęd szalony sprawiał wrażenie, że zwierzę to jest uosobieniem latawca, którego zbudowano nie z krwi i mięśni, ale ze stali i prętów rogowych. Wat nie miał nigdy zdarzenia, aby Matylda wyczerpywała swe siły, więc teraz próbował jej wytrzymałości z tem większem zadowoleniem.

Lecz oto myśliwi znaleźli się wśród pastwisk, które wówczas przegradzano wysokimi parkanami. Była to zgoła nieoczekiwana przeszkoda, gdyż marnowano czas na zsiadanie z koni i odsuwanie wrót, kiedy każda chwila decydowała o wszystkim! Czas ten musieli potem nadrabiać i pędzić przez pola ze zdwojoną szybkością. Lecz wiedźcie o tem, panowie, że działo się to w tych błogich czasach, kiedy ludzkość nie znała przekłętego telegrafu. Jeżeli gentleman nie mógł przesadzić płotu, wolno mu było nawet połamać ogrodzenie. Zresztą nieuzasadnione łamanie płotów nie należało do rzeczy przyjemnych i przyzwoitych.

Wat Danbury i łowczy wypadli teraz na drogę wiejską, pełną wybojów. Trzeba było zwolnić biegu. Z jakiejś fermy wybiegł na drogę włościanin i jął dawać różne znaki wymachiwaniem rąk, że chce coś powiedzieć. Ale tamci nie mieli już czasu na rozmowy, gdyż chodziło im głównie o to, aby nie tracić z oczu psów, które w tej chwili minęły wieś i znalazły się w polu. Droga poszła w górę i konie grzęzły niemal po kolana w świeżo zoranej ziemi. Znalazłszy się na wzgórzu, zwierzęta zaczęły ciężko sapać. Dopiero zachęcił je do dalszego biegu rozległy widok niziny, wiodącej do południowych diun. Pośrodku wyrastała



sośninka, do której teraz pędziły psy wyciągnawszy się w długiej linii.

Tu i owdzie widniały matowo - czerwone punkty; to kilka zmęczonych psów wracało z wysuniętymi językami, kulejąc i nieczując chęci do dalszej pogoni.

Sośninę przecinała szeroka, gładka droga, którą można było galopować bez przeszkód. Danbury i łowczy uderzyli konie strzemionami i pomknęli naprzód w odległości od psów jakieś sto jardów.

— Lis należy tylko do nas — rzekł Wat.

— Tak, sir, myśmy wszystkich wyprzedzili— odrzekł stary Jos Clark. — Jeżeli upolujemy tego lisa, to warto będzie go wypchać. Stanowczo wart będzie wypchania.

— Nigdy jeszcze w życiu nie zaznałem tak szybkiej jazdy! — zakrzyknął Danbury.

— Co tu mówić, sir! Przecie mnie staremu zdarzyło się coś podobnego pierwszy raz, a to dużo znaczy — odparł łowczy i dodał: Ale dziwi mnie jedno, że pan dotychczas nie widział tego lisa. Dobry musi zostawiać po sobie ślad, skoro psy tak uporczywie za nim gonią, a my go nie widzimy. A wszak, sir, myśmy widzieli wszystko w promieniu pół mili.

— Sądzę jednak, że wkrótce zobaczymy go — odpowiedział Danbury, a w duchu pomyślał: „Jeżeli nie my, to ja napewno go zobaczę“.

I rzeczywiście, klacz starego łowczego robiła już bokami. Wybuchy z niej kłęby pary, jak z okna pralni. Psy skręciły z głównej drogi na boczną ścieżynę, z której znowu trzeba było skręcić na inną bez porównania węższą. Gałęzie uderzały jeźdźców po twarzach, jazda w jednym rzędzie stała się niemożliwą. Wat ruszył naprzód. Łowczy, którego koń unosił kopyta, jak ciężary, pozostał w tyle. Nawet Matylda zaczęła okazywać zmęczenie i bieg jej był wyraźnie ociężały. Dopiero, gdy Danbury przynaglił ją strzemionami, ożywiła się i pomknęła naprzód, jakgdyby chcąc przez to wykazać, że stać ją jeszcze na lepszą jazdę.

Wat podniósł oczy i nagle ujrzał w dali, w perspektywie ścieżki, wysoki drewniany parkan. Psy przeleciały pod parkanem i znalazły się już na drugiej stronie. Trzeba było przeskakiwać, albo, jak to mówią, paść u celu. W takich razach Wat decydował się szybko. Uderzył Matyldę strzemionami pod żebra aż koń prysnął, jak strzała, w powietrze i w jednej chwili przesadził parkan. Zanim zdążył opamiętać się po tak gwałtownym salto-mortale, gdy usłyszał za sobą straszny łomot



jakby runął dom cały. Co za licho! Spojrzał szybko za siebie — a tu parkan rozwalony, koń łowczego leży jak nieżywy, Jos Clark zaś gramoli się na czworakach. Wprawdzie w okamgnieniu łowczy skoczył na równe nogi i podbiegł do swego konia, chwytając go za uzdę, ale koń był tak rozbity i tak rozklekotany, że o dalszej gonitwie nie mogło być mowy. Wat spostrzegł odrazu, jak wytrawny myśliwy, że w danym wypadku zachodzi potrzeba sześcioletniej kuracji pod okiem doświadczonego weterynarza, więc nie zwlekając ani chwili ruszył dalej. Dobiegł go tylko głos staro Jos, który krzyczał za nim, aby nie tracił z oczu psów.

Tak więc Wat Danbury pozostał sam jeden i miał teraz zupełne prawo wyrzec się raz na zawsze polowania na lisy po tej szalonej gonitwie, która dawała mu najwyższą satysfakcję. Pamiętam, gentlemani, jedno z takich polowań w Królewskim Serrey, w którym brałem udział... ale opowiadanie to odłożę na kiedy indziej.

Tymczasem sfora, a właściwie jej rozbitki, znajdowała się już bardzo daleko. Wat pomknął za psami; klacz, widocznie zadowolona z tego, że wyprzedziła wszystkich swych towarzyszy i towarzyszy, kłusowała dumnie i pewna siebie, potrząsając co chwila głową.

Z początku trzeba było przelecieć ze dwie mile zielonem zboczem wzgórza, następnie skręcić na wiejską drogę, pełną kamieni i wybojów. Matylda co kilka kroków potykała się i omal nie upadła. Drogę przecinał strumień pięć stóp szerokości, za strumieniem ciągnęły się gęste zarośle leszczyny, potem pastwiska. Zmęczone zwierzę z trudem pokonywało przeszkody, chociaż Wat musiał dwukrotnie marnować tak drogi czas na schodzenie z siodła i odsuwanie wrót.

Wreszcie oczom jego ukazała się rozległa zielona kraina południowych diun.

— Znakomicie — pomyślał — teraz ten lis wpadnie mi w ręce, albo będzie musiał utonąć w morzu. Dzielą nas tylko niewielkie skały nad brzegiem. Dalej niema gdzie uciekać.

Ale Wata zawiodły te przypuszczenia. W miejscowości diun południowych rozrzucone są tu i owdzie plantacje winnej latorośli, ukryte w dość głębokich łożyskach. Dostrzec je można dopiero z odległości kilku kroków. To sprawiło, że Danbury znalazł się zgoła nieoczekiwanie na skraju jednej z takich kotlin i ujrzał w dole ciemną kępę zarośli. Psy właśnie zdążyły już przedostać się tutaj i zagłębiły się w tym niewielkim gaju. Słońce rzucało ukośne promienie na zielono-oliwkowe zbocza łożyska. Wat spojrzął dokoła, oprócz kilku



spokojnych owiec, skubiących trawę pod zaroślami, nie było widać ani jednej żywej istoty. Ale nie ulega wątpliwości, że lisa osaczyły już psy tam w gąszczu. Wat przynaglił konia i w kilka chwil potem galopował wśród zarośli.

W zaroślach panował mrok, więc Wat, oślepiiony światłem promieni słonecznych, musiał użyć wiele wysiłku i czasu, aby nie zboczyć ze ścieżki, która go prowadziła do celu. Wszak znacie, gentlemani, zagajniki, w których jest tyle uroczystego mroku i ciszy, jak na cmentarzu. Mnie się zdaje, że podobnego wrażenia doznaje człowiek zawsze, ilekroć jedzie lasem, pełnym drzew wysokich, nieruchomych, pogrążonych w zupełnym spokoju.

Jakoż Wata Danbury zaczęło przejmować uczucie lęku. Całe polowanie wydało mu się jakieś dziwaczne i nazbyt długie, a przytem nikt jakoś nie mógł zobaczyć tego lisa, na którego tak zawzięcie polowano. I nagle przyszedł mu na myśl opowiadania o lisim królu. A trzeba wam wiedzieć, gentlemani, że chłopci nieoświeceni i zabobonni wierzą w istnienie jakiegoś lisiego króla. Królem tym jest lis, który posiada szatańskie talenty. Przedewszystkiem pędzi tak szybko, że żadna na świecie sfera nie może go dogonić. A jeżeli zwolni biegu, to tym gorzej dla psów.

Lisi król potrafi wtedy być tak okrutnym, że bez miłosierdzia rozrywa psy na drobne kawałki.

Otóż posłuchajcie, co się stanie. Wat Danbury przypomniał sobie te opowiadania i doznał nieprzyjemnych wrażeń. Bo rzeczywiście, co innego rozmowa o lisim królu po obiedzie, przy winie i cygarach, a zgoła co innego, gdy lis-demon zjawi się nagle w ciemnym lesie i zaskoczy drogę samotnemu człowiekowi. Wat, który był przed chwilą spokojny o siebie i bezpieczny, zaczął denerwować się. Prysnęła gdzieś jego myśliwska ambicja i zajęła go tylko jedna myśl.

„Ach, dałbym już dziesięć funtów, bylebym miał przy sobie dobrego Jos Clarka“.

I gdy Wata pochłonęły tak ponure rozmyślenia, nagle w pobliżu, tuż koło niego, rozległo się ogłuszające ujadanie i wycie. Nic innego, tylko psy dopędziły lisa.

— Wszak wiecie doskonale, gentlemani, co robi w takich wypadkach myśliwy. Znalazłszy się w położeniu Danburego, myśliwy winien wykonać te wszystkie czynności, które należą do łowczego, dojeżdżacza i innych. Odrazu wpada pomiędzy sforę i rozpędza ją batem, gdyż w przeciwnym razie psy poszarpią nietylko ogon, ale i skórę zwierzęcia. Wat Danbury pamiętał o tem i mo-



mentalnie skierował konia w gęstwinię, skąd dochodziło ujadanie psów. Ale, niestety, konna jazda w tych gąszczach była niemożliwa, więc zeskoczył na ziemię, puścił klacz luzem i sam zaczął przedostawać się piechotą, mając w ręku jedynie szpicrutę myśliwską. Im bardziej jednak zagłębiał się w gęstwinie, tym większy zdejmował go strach, aż krew zastygła mu w żyłach. Nie raz już był świadkiem osaczenia lisów, wszakże podobny wypadek zdarzył mu się po raz pierwszy w życiu. Co prawda psy ujadły, ale nie było to zwyczajne ujadanie, znane w podobnych wypadkach. Nie, psy wyły, poprostu wyły ze zgrozy. Czasem rozległo się skomlenie, jakby w przedśmiertnej agonji. Powstrzymując z trudnością oddech, Wat przyspieszał kroku i wkrótce znalazł się na niewielkiej polance. W przeciwnym końcu polanki psy stały stłoczone pod kępą cierniowych krzewów z najeżoną sierścią i otwartymi pyskami. Jeden z psów leżał niedbale pod krzewem, miał rozdarte gardło i broczył krwią. Wat podszedł bliżej. Ośmielone jego widokiem psy poruszyły się gwałtownie, a jeden z nich zawył straszliwie i skoczył do cierni. Wtem z krzewu wyrzało olbrzymie zwierzę wielkości osła i wysunęło się naprzód. Zwierzę to miało głowę dużą, szarą, a z paszczy szeroko otwartej błyszcząły zębiska

potworne i białe. Pies zawył, skoczył do góry i zniknął w kępie krzewów. Po chwili słychać było w krzewach skomlenie i złańcanie zębów, aż wycie bezsilne i bolesne przeszło w przedśmiertne pojękiwania, a potem wszystko umilkło.

Danbury cały dzień oczekiwał na objawy białej gorączki i nareczcie doczekał się ich. Napoły żywy i napoły martwy zajrzał jeszcze raz do krzewu. Patrzyło na niego dwoje okrutnych oczu, błyskających złowrogo. Nie namyślając się dłużej, wziął nogi za pas i zaczął uciekać. Djabli wiedzą, czy to chwilowy obłęd, czy też prawdziwa manja prześladowcza, o której wspominał doktor Middelton? W każdym razie trzeba wrócić czempędzej do domu, położyć się do łóżka i czekać co dalej będzie. Wat zapomniał o wszystkim, nawet o polowaniu i o psach. Był teraz niespokojny tylko o własny rozsądek, byleby go nie stracić. Siadł szybko na konia i po szalonym galopie przez diuny ocknął się na pocztowej stacji. Tam oddał klacz na przechowanie i sam odjechał parostatkiem do domu. Znalazł się u siebie jeszcze przed wieczorem, wzburzony i pełen nieopisanego lęku. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzął, zdawało mu się, że widzi czerwone i bestjalskie ślepie lisiego króla. Leżąc już w łóżku, biedny, zmęczony Wat posłał natychmiast po doktora Middeltona.



Gdy w kilka chwil potem wszedł do sypialni stary doktor, Wat zakrzyknął:

— Panie doktorze, objawy już są. Widzę jakby w malignie dziwaczne zwierzęta i różne potwory, wywołane przez halucynację. Słowem sprawdzają się pańskie przepowiednie. Doktorze, na miłość Boską, ratuj mnie, bo naprawdę dostanę pomieszania zmysłów!

Doktor wysłuchał pilnie opowiadania pacjenta, a gdy ten skończył, rozgniewał się strasznie.

— Przecież to jasne, jak boży dzień! — rzekł. — Masz pan, co się panu należało. To nauczka na całe życie.

Wat rozplakał się.

— Panie doktorze — wykrztusił żałośliwym głosem — jeżeli wyzdrowieję, to przysięgam, że nie wezmę do ust ani kropelki...

— Bardzo dobrze, kochany chłopcze! W nagrodę za dotrzymanie słowa może pan osiągnąć najwyższe szczęście. Ale w pańskim opowiadaniu fakty pomieszane są z fantazją. Czy aby to wszystko nie śniło się panu? Jestem, na przykład, pewny, że psy martwe i dziwaczne zwierzę w krzakach — to zwyczajny wytwór fantazji.

— Ależ widziałem to wszystko tak wyraźnie, jak teraz widzę pana.

— Być może. Podczas halucynacji, a złasz-

cza przy *delirium tremens* twory wyobraźni są niezwykle wyraźne... A wiesz, kochany przyjacielu, zdaje mi się, że pan nawet na polowaniu nie był, mając jedynie pewne wyobrażenie polowania.

Wat w milczeniu wskazał na swe myśliwskie buty, walające się na podłodze i zachlapane błotem całych dwóch hrabstw.

— Hm... hm... — rzekł doktor — widzę, że pan faktycznie był na polowaniu. W takim razie sprawa mogła mieć następujący przebieg. Nie wypocząwszy należycie, pan wyjechał na polowanie i z powodu silnego osłabienia i zdenerwowania zaczął majaczyć. Zapewne, zapewne, musiało tak być... Zresztą, po co tu dużo mówić! Kuracja w każdym razie jest nieunikniona. Będzie pan używał lekarstwo, które panu przepiszę, a na noc przystawimy do skroni pijawki, aby zapobiedz zapaleniu mózgu.

Doktor odszedł, a Wat nie spał całą noc i, przewracając się z boku na bok, rozmyślał nad tem, jak nietrwałą maszyną jest człowiek, jak jest łatwo tę maszynę zepsuć i ileż potrzeba wysiłku, aby doprowadzić ją do stanu normalnego. Przytem składał sobie w duchu uroczyste przysięgi, że odtąd zacznie żyć inaczej. Byleby tylko przyjść do zdrowia, a ta pierwsza bolesna na-



uczka będzie jedyną i ostatnią. Odtąd zacznie naśladować swojego ojca i poprowadzi życie ciche, trzeźwe, jak przystało na zamiłowanego w pracy gospodarza. Takie oto snuł myśli biedny młodzieniec, leżąc w łóżku. Nadeszło rano. Nagle drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł wzburzony doktor Middleton. W rękach trzymał postrzępioną gazetę.

— Kochany chłopczel! — zawołał — przepraszam cię po tysiąc razy. Pan nie miał żadnych halucynacji a ja... ja... jestem największym durniem w całym hrabstwie. Słuchaj pan!

Siadłszy na brzegu łóżka, doktor wyprostował gazetę i zaczął czytać.

Artykuł był zatytułowany: „Wypadek z psami Askomba“. Gazeta donosiła, że wczoraj znaleziono w Wiutońskim lesie w okolicy południowych diun cztery poszarpane i straszliwie zmasakrowane psy. Polowanie odbywało się w tak uciążliwych warunkach, że połowa sfory zaniemogła. Przyczyna niezwykłego wypadku z czterema psami, znalezionymi w lesie, dotychczas nie wyjaśniona.

— Otóż widzi pan! — rzekł doktor, patrząc na Danbury'ego — pomyliłem się, przyjmując pańskie martwe psy za wytwór halucynacji.

— Ale co za powód? — zapytał Wat.

— Hm... można odgadnąć bardzo łatwo, o ile

się zważy na notatkę, którą redakcja otrzymała późno w nocy, gdy kolumna była już na maszynie. Proszę posłuchać: „Wczoraj późnymwieczorem, mister Braun, właściciel fermy w Smiters, zauważył, że do jego owiec podeszło dzikie zwierzę, podobne do olbrzymiego psa. Po zabiciu okazało się, że jest to szary syberyjski wilk z rasy, znanej pod nazwą „*Lupus giganticus*“. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, wilk ten czmychnął z jakiejś wędrownej menażerji.“

Skończyłem. gentlemani. Muszę tylko dodać, że Wat Danbury dotrzymał święcie przyrzeczeń. Zgroza, jakiej doznał podczas polowania na lisiego króla, wyleczyła go ze zgubnego zamiłowania whisky, wskutek czego nie narażał się już nigdy na podobne niebezpieczeństwa. Oprócz lemoniady, nic więcej teraz nie pije... a właściwie chciałem powiedzieć, że nie pił on nic więcej oprócz lemoniady przed swym odjazdem. Akurat na Zwiastowanie upłynie pięć lat od czasu, gdy Wat Danbury porzucił nasze towarzystwo.

---



### Lejek z czarnej skóry.

Mój przyjaciel Lionell D'Acree mieszkał w Paryżu. Miał nieduży domek, ogrodzony żelaznymi sztachetami. Przed domkiem widać było zielony staw. Zdaje mi się, że ten dom był bardzo stary, starszy nawet, niż dzielnica, do której teraz należał. Szare gonty dachu porastał mech, ściany domu były porysowane i straciły swój poprzedni kolor. Od ulicy mieszkanie Lionell D'Acree miało zaledwie pięć frontowych okien i sprawiało wrażenie szczupłego lokalu. Ale w głębi podwórza budynek rozszerzał się stopniowo i kończył na długim o szerokości całej szczytowej ściany pokoju. Właśnie w tym miejscu D'Acree miał swój słynny gabinet, tutaj mianowicie przechowywał swą niezwykłą bibliotekę, złożoną z nader osobliwych ksiąg, pokój ten był pełen ciekawych i najróżnorodniejszych unikatów. D'Acree bowiem oddawał się zapamiętaniu czarnoksiężtwa i wszelakim praktykom djabelskim.

D'Acree był człowiekiem bardzo bogatym, smak posiadał wybredny i zarazem ekscentryczny. Na stworzenie swego muzeum, które według opinii znawców należało do jedynych w Europie, rujnował nie tylko cały majątek, ale i samo życie. Zgromadził u siebie olbrzymie stosy ksiąg talmudycznych, traktujących o kabalistyce i czarnoksiężtwie. Niektóre z tych ksiąg stanowiły rzadkie okazy i kosztowały olbrzymie pieniądze. Tajemniczość i zgroza pociągały ku sobie D'Acree'a nieodparcie, a, jak mówiono, że nie dbał on o nic, byleby tylko zadość uczynić swoim słabostkom. Anglików nie lubił wtajemniczać w swoje czarnoksiężkie praktyki, a jeśli prowadził z nimi rozmowy na ulubione przezeń tematy, to tylko z teoretycznego punktu widzenia.

Wszelako opowiadał mi pewien francuz, również zwolennik czarnej magji, że w gabinecie D'Acree'a odbywały się od czasu do czasu czarne nabożeństwa, budzące odrazę.

Wnosząc z wyglądu, należało mniemać, że zamiłowanie D'Acree'a do rzeczy nadnaturalnych opiera się nie tyle na podkładzie uczuciowym, ile intelektualnym. Twarz jego pełna i czerstwa nie zdradzała zupełnie śladów ascetyzmu. Olbrzymia, baniasta czaszka, okolona rozrzedzonymi włosami, świadczyła o ogromnej potędze umysłu. Ale



D'Acree posiadał więcej wiedzy aniżeli rozumu, więcej energii, niż siły woli. W maleńkich głęboko osadzonych oczach połyskiwały ognie niezaspokojonej ciekawości i siły. Były to oczy wrażliwe i egoistyczne.

Ale dosyć o D'Acree'e. Pocziwina ten zmarł i to zmarł w tym czasie, kiedy był najpewniejszy, że odkrył eliksir życia. Właściwie nie zamierzam w tej chwili opowiadać jego historii, ale chcę poruszyć pewną tajemniczą sprawę z roku 1882 t. j. z czasu, kiedy na wiosnę przybył do Paryża i odwiedził Lionell D'Acree'a.

Poznałem się z D'Acree'm w Anglii, w czytelnicy Brytyjskiego muzeum. Ślęczałem nad asyryjskimi zabytkami, D'Acree zaś usiłował odgadnąć mistyczne i ezoteryczne znaczenie tablic babilońskich. Wspólność pracy zbliżyła nas. Z początku operowaliśmy pomiędzy sobą pojedynczymi frazesami, potem zaczęliśmy rozmowę. Stopniowo pomiędzy mną a D'Acree'm zadzierzgnęło się coś w rodzaju przyjaźni. Obiecałem przy pierwszej sposobności odwiedzić go w Paryżu.

I oto nareszcie udało mi się dotrzymać słowa. Mieszkałem wtedy w Fontenebleu. Ponieważ wizyta moja w Paryżu zaciągnęła się zbyt długo, więc musiałem z braku pociągu przenocować u D'Acree'a.

— Do spania mogę panu ofiarować to — rzekł D'Acres, wskazując na szeroką otomanę w gabinecie — mebel wygodny, odpocznie pan znakomicie.

Chociaż sypialnia z półkami, pełnemi książek w czarnych okładkach, wydała mi się dość oryginalną jednak nie okazałem niezadowolenia. Owszem lubię książki i chętnie wśród nich przebywam. Podziękowałem więc D'Acres'owi i zawołałem.

— Ależ to doskonała sypialnia!

— Być może — odpar D'Acres — urządzenie tego pokoju nie posiada żadnych wygód, ale też dużo mnie ono kosztowało. Czy pan da wiarę, że na kupno wszystkich tych rzeczy, które pan tu widzi, wydałem prawie dwieście pięćdziesiąt tysięcy? Książki, broń, kosztowne kamienie, przeróżne rzeczy, dywany, obrazy, malowidła — słowem każdy ten drobiazg posiada swą historję i, dodam, ciekawą historję.

Siedzieliśmy przy kominku. Po prawej ręce D'Acres'a stało jego biurko, rzęsiście oświetlone lampą, zwieszającą się u sufitu. Na biurku widziałem skręcony w trąbkę starożytny pergamin i różne dziwaczne fatałaszki. Szczególnie uwagę moją zajął duży lejek, podobny do tych, przez które precedzają do beczki wino. Lejek był prawdopodobnie zrobiony z czarnego drzewa



i brzegi miał obite zczerniałą miedzią, która straciła już swój kolor i połysk.

— Co za nadzwyczajna rzecz! Czy ona ma też swoją historję? — rzekłem, wskazując na lejek.

— Ach — odrzekł D'Acres — już wiele razy zadawałem sobie to samo pytanie. Dałbym nie wiem ile, gdybym mógł wiedzieć napewno... Ale niech pan weźmie ten lejek do ręki i obejrzy go.

Przypatrując się lejкови zbliżona, spostrzegłem, że nie jest on drewniany, ale zrobiony ze skóry. Skóra zaś wyschła do tego stopnia, że była twarda, jak kamień.

Lejek był stosunkowo duży i mógł naraz pomieścić kwartę płynu. Szeroki otwór miał obity miedzią, wąskie zakończenie również było obramowane miedzią.

— Jakie więc jest pańskie zdanie o tym przedmiocie? — zapytał D'Acres.

— Przypuszczam — odparłem — że był on własnością jakiegoś piwowara lub wytwórcy wina ze średniowiecza, chociaż widziałem w Anglii skórzane butelki z siedmnastego wieku również ciemne i szorstkie, jak ten lejek. Nazywano je „Czarnymi Yecami“.

— Hm... — mrukną D'Acres — zdaje mi się, że pan trafnie oznaczył datę. Ten lejek należy do siedemnastego stulecia. Nie ulega również wątpliwości, że zadaniem tego lejka było napełnianie naczyń... Wszelako, o ile przypuszczenia moje są prawdziwe... wytwórca wina, który używał tego lejka, musiał być jakimś osobliwym wytwórcą. Ale i beczki, nad którymi operował ten lejek, były... hm... jakieś dziwne, doprawdy dziwne. Czy istotnie pan nic nie zauważył na wążkiem zakończeniu lejka?

Podszedłem z lejkiem do światła i zacząłem go dokładnie oglądać. Czarna skóra na wążkim końcu w odległości pięciu cali od miedzianej obwódki była podrapana i porznięta, jakby tępem narzędziem.

— Tu są nacięcia. Widocznie ktoś próbował oderznąć szyjkę.

— Pan nazywa te znaki nacięciami?

— Nie inaczej. Skóra w tym miejscu jest poszarpana. Nie wiem jakie narzędzie poczyniło w tak twardej, jak kamień, skórze te ślady, ale ktoś miał siłę niepospolitą.

D'Acres uśmiechnął się i maleńkie oczki zabłysły mu świeżkami.

— Czy pan ma pojęcie o tej nauce, która traktuje o psychologii samych widziadeł?



— Nawet nie wiedziałem, że istnieje coś podobnego.

— Spójrz pan, *cher monsieur*, tam na tę półkę, założoną dużymi książkami. Są to prace Albertusa Magnusa i innych, bardziej starożytnych, aniżeli on, pisarzy. Wszystkie te utwory poświęcone zostały tej właśnie nauce.

— Tak, zapewne... ale stworzyli ją szarlatani.

— Szarlatan zawsze grał rolę pionera. Z astrologii powstała astronomja, alchemik wychował chemika, spirytyzm wprowadził nas na tory psychologii doświadczalnej. Ten, który wczoraj uchodził za szarlatana, jutro uznany zostanie za profesora. Poczekaj pan, a nadejdzie czas, że nawet tak subtelne i nieuchwytnie zjawisko, jak sen, będzie zdobyczą nauki ścisłej. Czas ten nadejdzie, stanowczo nadejdzie! I wówczas poszukiwania tych oto naszych przyjaciół — D'Acres — wskazał ręką na półkę — nie bądą służyły mistykom, jako rozrywka. Utwory te staną się kamieniem węgielnym dla naszej nauki.

— Przypuśćmy, że pan ma słuszność — rzekłem — ale co ma wspólnego psychologja samych widziadeł z tym dużym czarnym lejkiem?

— Zaraz dowie się pan... mam właśnie agenta, który wyszukuje dla moich zbiorów róż-

ne nadzwyczajności i unikaty. Przed kilkoma dniami dowiedział się, że pewien antykwaryusz pozyskał moc przeróżnej starzyzny, którą przechowywano w kredensie starego domu na rue Maturen w Latyńskim kwartale. W jadalni tego domu, muszę panu powiedzieć, jest herb, złożony z czerwonych poprzecznych pasów na srebrnym tle. Dochodzenia wykazały, że herb ten należy do Mikołaja De-La-Reinis, który był jednym z dostojników za króla Ludwika XIV. Nie ulega wątpliwości, że przedmioty, znalezione w kredensie, należą do tej epoki. Stąd dostatecznie sformowany wniosek, że rzeczy te stanowiły własność tego samego Mikołaja De-La-Reinis A jak panu wiadomo, Reinis wprowadzał w życie najokrutniejsze prawa tej epoki.

— Tak, ale cóż dalej?

— Proszę, niech pan znowu weźmie ten lejek i obejrzy go. Niech pan zwróci uwagę na obwódkę u góry. Czy dostrzega pan litery?

Istotnie, na obwódce widać było cały szereg liter, startych do połowy i ledwie dostrzegalnych. Ostatnia litera była podobna do *B*.

— Pan sądzisz, że to jest *B*?

— Naturalnie.

— I ja tak sądzę. Zresztą, jestem pewny



tego, Co do mnie, to nie mam żadnych wątpliwości, że jest to — *B*.

— Tak, a wszakże nazwisko wspomnianego przez pana dostojnika zaczyna się nie od *B* lecz od *R*.

— Ma pan najzupełniejszą rację. Ale w tem właśnie tkwi tajemnica. Przedmiot ten należał do Mikołaja De-La-Reinis, a jednak wryte są na nim cudze inicjały. Co za przyczyna? Jak pan sądzi?

— Nawet wyobrazić sobie nie mogę. A pan czy posiada w tym względzie jakiegokolwiek dane?

— Domyślam się tylko. Czy oprócz liter nic więcej pan nie zauważył na obwódce?

— Jest jakiś znak w kształcie korony.

— Ma pan rację, to korona. A po uważnem wpatrzeniu się widać, że jest to korona niezwykła. Cztery perły przeplatają liście truskawek. Taką koronę mogły nosić tylko markizy. Wobec tego możemy śmiało przypuszczać, że osoba, której inicjałem była litera *B*, posiadała prawo do tej korony.

— Czyż w rzeczywistości ten banalny skórzany lejek był własnością markiza?

D'Acres uśmiechnął się jakoś dziwnie.

— Tak, był własnością markiza lub osoby,

należącej do jego rodziny. Oto wszystko, czegośmy dowiedzieli się i mogli dowiedzieć z tej obwódki.

— Dobrze, lecz jaką to ma łączność z samymi widziadłami? — zapytałem.

W twarzy D'Acres'a dostrzegłem jakiś rys znamieny, oburzający. Przejęło mnie uczucie wstrętu i niewytłumaczonej zgrozy. Lękliwie rzuciłem okiem na kawałek czarnej skóry na biurku.

— Dzięki snom otrzymałem kilkakrotnie niezmiernie doniosłe wiadomości — rzekł D'Acres tonem dydaktycznym, którego używał w podobnych wypadkach. — Obecnie rządę się następującą zasadą: skoro mam pewne wątpliwości o czemkolwiek, natychmiast kładę daną rzecz pod poduszkę. W ten sposób szukam wyjaśnienia, rozumie pan? I rzeczywiście doświadczenie to nie jest już tak dziwaczne i niezrozumiałe, jak mniemają prawowierni uczeni. Wyrobiłem sobie właśnie taką teorię. Sędzę, że przedmioty, znajdujące się w bliskim związku z człowiekiem, który znajduje się pod jakimś silnym wrażeniem (przyjemnym lub nieprzyjemnym) pochłaniają — że tak powiem, atmosferę tego zdarzenia i przekazują je ludziom uczuciowym. Mówiąc o uczuciowości, mam na uwadze nie chorobliwie rozwinięte uczucie, ale psychikę ludzi inteligentnych i wykształconych, jak my naprzykład.



— Opierając się więc na pańskich wywodach, należałoby utrzymywać, że ta oto szpada, którą położę obok siebie do snu powinna nasunąć mi we śnie tę krwawą bitwę, w której brała udział?

— Użył pan nader trafnego przykładu. Mianowicie z tą szpadą dokonywałem doświadczenia. Ujrzałem we śnie śmierć jej posiadacza. Zginął w gorącej walce. Jakkolwiek nie mogłem sprawdzić dokładnie ani miejsca ani czasu, w którym rozegrała się ta scena, ale niektóre szczegóły wskazywały, że wyśniona przezemnie krwawa potyczka odbyła się za czasów Frondy. Tego rodzaju doświadczenia znane są ludziom prostym. Nauka ta przechodziła z ojców na dzieci. Tylko my, synowie wieku oświeconego, wtrąciliśmy ją do rzędu zabobonów.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Choćby to naprzykład, że wśród ludu istnieje taki zwyczaj, iż jeśli ktokolwiek pragnie mieć sen przyjemny, to kładzie pod poduszkę kawałek weselnego tortu. Jest to jeden tylko przykład. W rzeczywistości zaś mamy ich niezliczoną ilość. Wszystkie te zwyczaje omówiłem szczegółowo w specjalnej broszurze, która w najbliższej przyszłości ujrzy światło dzienne. Ale wróćmy do naszej rozmowy. Pewnego razu zabrałem ze sobą

na całą noc ten lejek i miałem sen, który wyjaśnił mi przeszłość tego dziwnego przedmiotu.

— Cóż się panu przyśniło?

-- Przyśniło mi się...

Zamilkł na chwilę a jego pełna twarz ożywiła się nagle.

— Doprawdy, mam doskonałą myśl — zawołał — zrobimy ogromnie ciekawe doświadczenie. Psychikę ma pan znakomicie rozwiniętą a jakie nerwy, wrażliwe?

— Nie próbowałem swoich zdolności w tym kierunku.

— A otóż wypróbujemy pana tej nocy. Ale proszę mi nie odmawiać pewnej grzeczności. Idąc spać, niech pan będzie łaskaw położyć ten czarny lejek przy sobie koło głowy.

Jakkolwiek odczuwam pewną słabośćkę do rzeczy dziwnych i fantastycznych, to jednak prośba D'Acres'a wydała mi się dość śmieszną. W teorię D'Acres'a nie wierzyłem zupełnie i nie mniej byłem pewny, że doświadczenie zawiedzie. Wszelako gwoli ciekawości, propozycję przyjąłem. D'Acres z wielkim namaszczeniem przysunął do wezgłowia przygotowanej dla mnie pościeli maleńki stolik i położył na nim lejek z czarnej skóry. Następnie pogadał jeszcze ze mną o tem i o owem, wreszcie uscisnął mi rękę na dobranoc i wyszedł.



Zapaliwszy papierosa, siadłem przy gasnącym kominku i myślałem o dziwacznym doświadczeniu, w którym miałem wziąć udział. Odnosiłem się do tego sceptycznie, ale wykazana przez D'Acra'a pewność siebie zdołała wyrzucić na mnie swojego rodzaju wrażenie. Ale i pokój ten olbrzymi, zawalony dziwacznymi a częstokroć budzącymi lęk przedmiotami oddziaływał na mnie i odpowiednio nastrajał. Wreszcie rozebrałem się i poszedłem spać. Nim jednak mogłem zasnąć, przewracałem się z boku na bok...

Teraz pozwolę sobie w miarę możliwości dokładnie opisać scenę, którą ujrzałem we śnie. Scena ta wyryła mi się w pamięci tak wyraźnie, że pamiętam ją daleko lepiej, aniżeli rzeczy, widziane na jawie.

Była podziemna komnata o sklepieniu w kształcie kopuły, wymurowana ordynarnie ale trwale. Widocznie piwnica ta należała do jakiegoś olbrzymiego budynku.

Na wzniesieniu, obitem czerwonym suknem siedziało trzech ludzi w czarnych strojach i w kapeluszach z czarnego atłasu. Twarze mieli uroczyście i zasepione. Na lewo stało dwóch ludzi w długich ubiorach, trzymając w rękach teki, pełne widocznie papierów. Z prawej strony wzniesienia, twarzą ku mnie, znajdowała się kobieta

średniego wzrostu blondyna o niezwyklej jasno-  
niebieskich oczach. Były to oczy dziecka. Kobieta  
owa przeżyła już swą pierwszą młodość, wszelako  
nie uchodziła jeszcze za osobę zaawansowaną  
w latach. Postać jej zdradzała pełnię kształtów,  
dumę i pewność siebie. Twarz miała bladą, ale  
spokojną. Była to twarz dziwna: piękna i zarazem  
drapieżna. Maleńkie usta, ścięte mocno wargi, sil-  
nie rozwinięte szczęki — wszystko to świadczyło  
o wrodzonym okrucieństwie charakteru. Okrywała  
ją szata obszerna i biała. Tuż przy niej stał ksiądz  
wysoki i chudy; coś mówił do niej szeptem i co  
chwila podnosił do jej oczu krucyfiks. Kobieta od-  
wróciła głowę od krucyfiksu i spojrzała na trzech  
ludzi w czarnych strojach, którzy zapewne byli  
jej sędziami.

Obserwowałem nadal. Mniemani sędziowie  
podnieśli się i zaczęli coś mówić. Słów nie sły-  
szałem, ale bezwiednie czułem, że przemawia ten  
który stał pośrodku. Następnie ludzie w czarnych  
strojach opuścili komnatę a za nimi udało się  
dwóch z tekami w rękach. W tej chwili wpadło  
do komnaty, potrącając się gwałtownie, kilku lu-  
dzi w grubych kurtkach, z twarzami brutalnemi.  
Nasamprzód ściągnęli czerwone sukno, a następ-  
nie powyciągali ze wzniesienia deski. Gdy wszyst-  
ko to zostało wyniesione, nagle rozsunęły



się kotary za wzniesieniem, ukazując w głębi wiele dziwacznych sprzętów. Jeden z nich był podobny do łóżka z drewnianymi wałkami zamiast poduszek. Do łóżka był przymocowany przyrząd z korbą, za pomocą którego, kręcąc korbą, można było łóżko wydłużać i skracać. Z pośród innych przedmiotów przykuł moją uwagę drewniany koń. Poza tem pełno tam widziałem rzeczy osobliwych. Do sufitu była przymocowana niezliczona ilość bloków a sznury przerzucone przez bloki zwisały ku dołowi, chwiejąc się. Lokal ten przypominał częściowo salę gimnastyczną.

Gdy przygotowania już poczyniono, na scenie zjawiała się nowa postać. Był to wysoki, chudy mężczyzna w czarnej szacie, z twarzą surową i wycieńczoną. Wygląd tego człowieka wzbudzał we mnie dreszcze. Ubiór miał poplamiony i wyświechtany sadłem, ale postawa jego była pełna powagi i imponowała. Widocznie był tu panem i rządził wszystkimi. Na lewej ręce miał zarzucony pęk cienkich sznurków.

Kobieta w białej szacie spoglądała badawczo do góry i do dołu, ale wyraz jej twarzy nie ulegał zmianie. Patrzała z pewnością siebie i nawet wyzywająco. Ksiądz jednak zachowywał się inaczej. Twarz jego pobladła śmiertelnie, i widziałem, jak na wysokie spadziste czoło wystąpiły mu krople potu. Podniósł ręce do góry, jakby w mod-

litwie, a następnie powiedziawszy coś kobiecie, wypadł z komnaty, jak strzała.

Straszny czarny mężczyzna podszedł do kobiety i zaczął związywać jej ręce. Nie sprzeciwiała się i ulegle wyciągała je przed siebie. Potem brutalnie chwycił ją za rękę i pociągnął do drewnianego konia, który wzrostem sięgał jej, nieco wyżej, niż do pasa. Słudzy chwycili kobietę i położyli ją na grzbiecie konia twarzą do sufitu. Kobieta zaczęła szybko poruszać ustami, a chociaż nie słyszałem ani słowa, wiedziałem jednak, że modli się. Nogi miała zwieszona z obu stron konia. Słudzy ze zwierzęcemi twarzami zwinnie przymocowali do jej kostek sznury, które były przywiązane do żelaznych obręczy, wkręconych do kamiennego sufitu. Na widok tych charakterystycznych przygotowań zamarło mi serce, ale oderwać oczu od tego przerażającego widowiska nie mogłem. Przejęła mnie zgroza. Nagle drzwi otworzyły się i do komnaty wszedł człowiek z dwoma wiadrami wody, zanim wszedł drugi, niosąc jeszcze jedno wiadro. Wiadra postawiono koło drewnianego konia. Drugi z przybyłych trzymał w ręce dzban w kształcie puharu z wyprostowanym uchem i podał go czarnemu mężczyźnie. W tej chwili do drewnianego konia zbliżył się drugi sługa, trzymając w ręce czarny przedmiot, który we śnie



wydał mi się jakoś znajomym. Był to lejek z czarnej skóry. Z niesłychanym potwornym zapachem niegodziwiec włożył ten lejek...

Nie mogłem jednak wytrzymać dłużej. Włosy mi się najeżyły ze zgrozy. Zacząłem więc się, walczyć aż nareszcie zerwałem przemocą dławiące mnie pęta snu. Z przeraźliwym krzykiem powróciłem do swego trybu życia...

Po ocknięciu się spostrzegłem, że leżę na otomaniu w olbrzymiej bibliotece D'Acra, drząc cały. Przez okno sączył swe tajemnicze światło księżyc i kładł na przeciwległej ścianie dziwaczne ciemno-srebrzyste pasma. Och, jak przyjemną, jak rozkoszną była świadomość mego powrotu do XIX wieku. Byleby dalej, byleby dalej od tych podziemi średniowiecza, na świeże powietrze, do ludzi, do ludzi, których serca biją naprawdę po ludzku! Siedziałem na posłaniu, drząc na całym cieple przerażony i dziękując Bogu, że wybawił mnie z tak straszego koszmaru.

I tylko pomyśleć, że podobne rzeczy odbywały się, że mogły się odbywać. Dlaczego Bóg nie karał śmiercią złoczyńców, pastwiących się z takim okrucieństwem na swych bliźnich?! I jakież to sen miałem? Czy była to tylko fantazja, czy też widziana przezemnie scena rozegrała się

gdzieś i kiedykolwiek? Oparłem głowę na drżących rękach i zacząłem myśleć.

I nagle poczułem, że serce przestało mi bić. Ogarnęła mnie zgroza i nie mogłem nawet krzyknąć. W ciemnym pokoju coś sunęło naprzód, zbliżając się ku mnie.

Tak, panuje tu tyle straszydeł, że naprawdę można zwarjować. Zresztą w tej chwili nie mogłem ani mędrkować ani modlić się. Siedziałem na posłaniu nieruchomy, utkwivszy oczy w sunącej ku mnie czarnej postaci. Dopiero, gdy widziadło znalazło się w promieniach miesięcznego światła, odetchnąłem z prawdziwą ulgą. Był to D'Acree, nie mniej wystraszony, niż ja.

— Co panu? Na miłość Boską, proszę powiedzieć, co się z panem dzieje? — zapytał wzburzonym głosem.

— Ach, panie D'Acree, szczęśliwy jestem, że pana tu widzę! Przed chwilą wróciłem z piekła. Ach! Jaki straszny widok!

— Więc to pan krzyknął?

— Zapewne ja.

— Pański krzyk poruszył cały dom. Służba wylekniona.

Mówiąc to, D'Acree potarł zapałkę i zapalił lampę.



— Żdaje się, że na kominku jest jeszcze ogień — wymamrotał i dorzucił na stojące węgle kilka polan. Potem siadł przy mnie na posłaniu i, spojrzawszy na mnie, zawołał:

— O, Boże, jaki pan blady! Pan widział jakież straszycło!

— Istotnie, widziałem niejednego stracha.

— W takim razie czarny lejek poskutkował?

— Teraz już za żadne pieniądze nie zgodzę się spać w towarzystwie tego przekłętego lejka.

D'Acree zaśmiał się.

— Sądziłem właśnie, że pan spędzi nader wesołą nocy — rzekł — ale ja również mam niewielkie zadowolenie. Bo zbudzić się o drugiej godzinie w nocy na czyjś przejmujący głośny krzyk to, muszę przyznać, nie należy do wielkiej przyjemności. Bądź co bądź wnioskuje z pańskich słów, że był pan świadkiem całej tej okropnej sprawy.

— Okropnej sprawy?

— Mówię o torturach za pomocą wody albo używając określenia z dawnych dobrych czasów „Króla Sohida“ — badania z udrczeniami. Czy pan dotrwał do końca?

— O nie, dzięki Bogu, obudziłem się przedtem, zanim rozpoczęto badanie.

— A, a! Tym lepiej dla pana. A ja wytrzymałem aż do trzeciego wiadra... To stara historia, wszyscy tamci umarli i znajdują się w ziemi. Sądzę, że teraz już wszystko jedno, co się z nimi działo na ziemi. Pan naturalnie nie ma pojęcia o tem, co to była za scena?

— Sądzę, że badano jakąś przestępczynię, która, będąc ogromną zbrodniarką zasłużyła sobie na tak okrutną męczarnię.

D'Acres zawiązał szlafrok i podszedł do kominka.

— Tak — odrzekł — mamy wspólną swego rodzaju rozrywkę. Przypuśćmy, że pan ma rację: kobieta owa cierpiała zasłużenie... Rzecz prosta, ale w tym tylko wypadku, o ile trafnie odgadłem, co to za jedna.

— Ale jakim sposobem dowiedział się pan o tem?

Zamiast odpowiedzi d'Acres zdjął z półki starą książkę w skórzanej oprawie i rzekł:

— Proszę posłuchać! Odbywało się to we Francji w XVII stuleciu... Ale pozwoli pan, że będę sam tłumaczył dosłownie, pan zaś osądzi, czy moje wywody są słuszne.



„Przestępczynię stawiono w obliczu parlamentarnego sądu karnego, który rozpoznawał sprawę zabójstwa jej ojca pana Dreu D'Abray i dwóch braci panów szlachty D'Abray, z których jeden zajmował stanowisko obywatelskie, drugi był radcą parlamentu. Z wyglądu przestępczyni trudno było wywnioskować, czy to morderstwo faktycznie jest dziełem jej rąk. Wzrost miała średni, twarz piękną, białą, oczy niebieskie. Izba jednak uznała ją za winną i postanowiła zastosować względem niej zwykłe badanie i badanie z udęczeniem, aby wyjawiała swych współników. Potem przestępczynię należało przewieźć wozem na plac de Greve na ścięcie głowy. A po tem wszystkiem już kazano ją spalić i prochy jej rozwiać na wiatr. Nastąpiło to 16 lipca 1676 roku“.

— Ciekawe ale nieprzekonywujące — powiedziałem. Czy może mi pan dowieść, że chodzi tu o tę kobietę, którą widzieliśmy we śnie?

— Właśnie zbliżyłem się do tego miejsca, które nam wyjaśni, jak zachowywała się ta kobieta podczas badania.

„Gdy kat podszedł ku niej, poznała go po sznurkach, które trzymał, wyciągnęła przed siebie ręce i pozwoliła je związać. Oglądając zaś kata, nie wyrzekła ani słowa“.

— Czy to tak było?

— Tak, tak, zupełnie tak samo.

— Teraz niech pan dalej posłucha. „Patrzała, a powieki jej nawet nie drgnęły — na drewnianego konia i na inne narzędzia kaźni, które zamęczyły tyle, tyle ofiał. Kiedy zwróciła wzrok na trzy wiadra wody, przygotowane dla niej, uśmiechnęła się i rzekła do kata: „Monsieur, zapewne przyniesiono tę wodę, aby mnie utopić? Spodziewam się, że pan nie sądzi, aby tak mała kobieta, jak ja, mogła wypić wszystką tę wodę“.

— Czy mogę dalej czytać opis kaźni?

— Oh, nie, na miłość Boską, nie trzeba.

— Ale przeczytam panu jeszcze coś takiego. co przekona pana, że opisywana tu scena jest identyczną do tej, którą pan widział we śnie: „Szlachetny ksiądz Pireau, nie mogąc znieść widoku tych wszystkich męczarni, które zasądzono jego duchownej córce, żałującej za grzechy wybiegł z komnaty“. I cóż, dość przekonujące?

— Najzupełniej. Obecnie pojmuję doskonale, że miałem sen, który został tutaj opisany. Ale proszę mi powiedzieć, kim jest ta kobieta? Wygląd jej tak pociągający a jednak tak straszne musiała znosić tortury.

Zamiast odpowiedzi D'Acres podniósł się i postawił na małym stoliku koło mego postania

Sanatorium Przeciwgruźlicze 163

Samorządu Województwa Pomorskiego

ul. ... now. Bydgoszcz



lampę. Potem wziął przeklęty lejek z czarnej skóry i przekręcił go w ten sposób, że światło padło na metalową obwódkę. W takim oświetleniu litery na obwódce stały się bardziej wyraźne.

— Otóż — rzekł — zgodziliśmy się na to, że jest to korona markiza albo markizy. Również mamy pewność, że ostatnia litera oznacza *B*.

— Tak jest istotnie.

— Doskonale. Co zaś dotyczy reszty liter, to proszę czytać je z lewej strony ku prawej: *M*, znowu *M*, potem maleńkie *d*, następnie *A*, potem znowu maleńkie *d* i wreszcie na końcu *B*.

— Tak, zdaje mi się, że ma pan rację. Dwa maleńkie *d* widzę zupełnie wyraźnie.

— A czy pan wie, com czytał przed chwilą? — zapytał D'Acres i nie czekając na odpowiedź, rzekł: — Jest to oficjalny wyrok sądu na najznakomitszą trucicielkę i zabójczynię wszystkich czasów, Marję - Magdalenę d'Abrey, markizę de Brenvilles.

Siedziałem na posłaniu milcząc, zdumiony tą niezwykłą historją i patrzyłem z podziwem na D'Acres'a, który tak dokładnie wykazał słuszność swego poglądu na sprawę. Przyszły mi na myśl poszczególne fakty z życia tej słynnej kobiety. Przypomniła mi się jej wyuzdana rozpusta i przeje-

mująca wstrętem obojętność, z jaką zameczyła na śmierć chorego ojca, i jej przyziemna pożądlivość, dzięki której zamordowała swych braci z powodu jakichś groszowych rozrachunków. Kobieta owa przyjmowała śmierć ze spokojem i spokój ten częściowo odkupił jej przejmujące zgrozą czyny. W ostatniej chwili jej życia cały Paryż litował się nad nią.

Tę kobietę, na którą przedtem rzucano przekleństwa, jak na mordercę, błogosławiono potem, jak męczennicę. Pod jednym tylko względem miałem wątpliwość i zwierzyłem się z tym D'Acree'owi.

— Nie rozumiem, w jaki sposób znalazły się jej inicjały i korona na tym oto lejku. Czy być może, aby w owych czasach hołdowanie arystokracji sięgało tak daleko, że nawet narzędzia tortur ozdobiono koronami swych szlachejnych ofiar? Chyba to niemożliwe.

— Ja również tak sądziłem — odrzekł D'Acree—ale rzecz jest zrozumiała. W swoim czasie ta sprawa pochłoneła ogólną uwagę i wywołała sensację. Dlatego nic dziwnego, że naczelnik policji La Reinis zapragnął wziąć sobie ten lejek na pamiątkę. Wszak rzadkimi były wypadki, że we Francji poddawano markizy badaniom z udre-



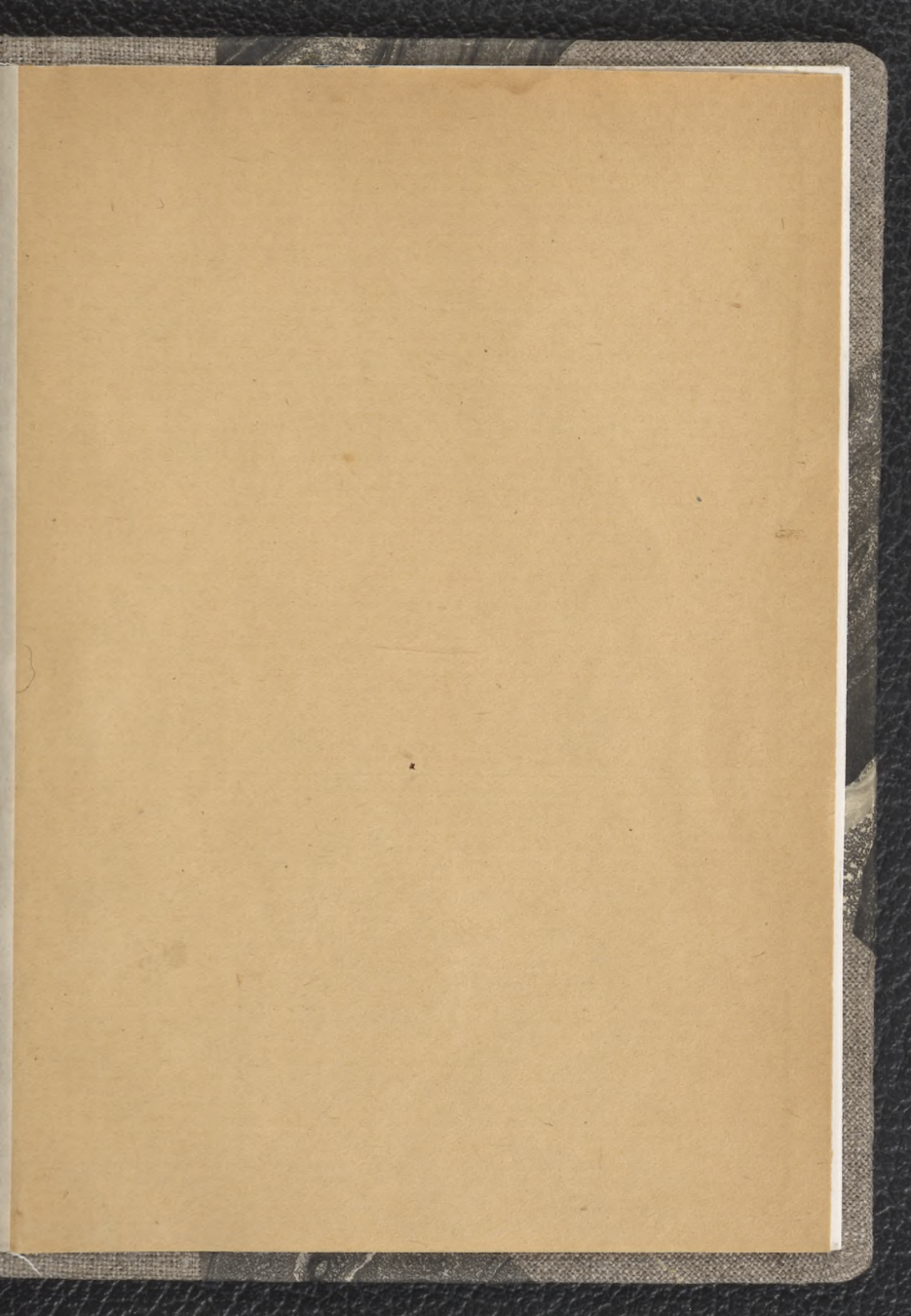
zeniami. Wskutek tego La Reinis kazał wryć na lejku inicjały przestępczyni. To takie naturalne i zrozumiałe.

— Dobrze, a cóż pan o tem powie? — zapytałem, wskazując na nacięcia przy obwódce.

D'Acres odwrócił się i odrzekł:

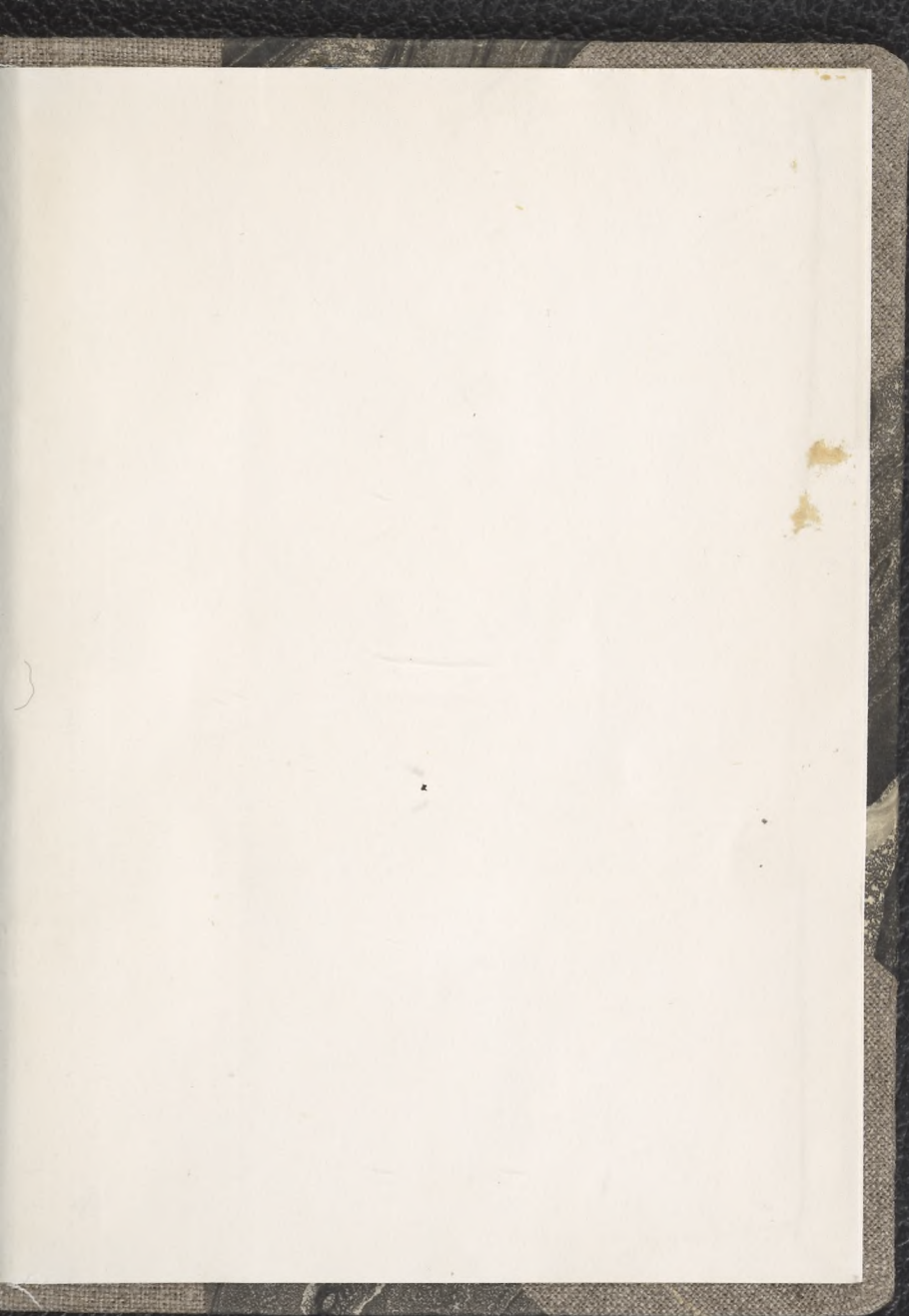
— O, była to okrutna tygrysica, więc nic dziwnego, jeżeli zęby tygrysicy są silne i ostre.



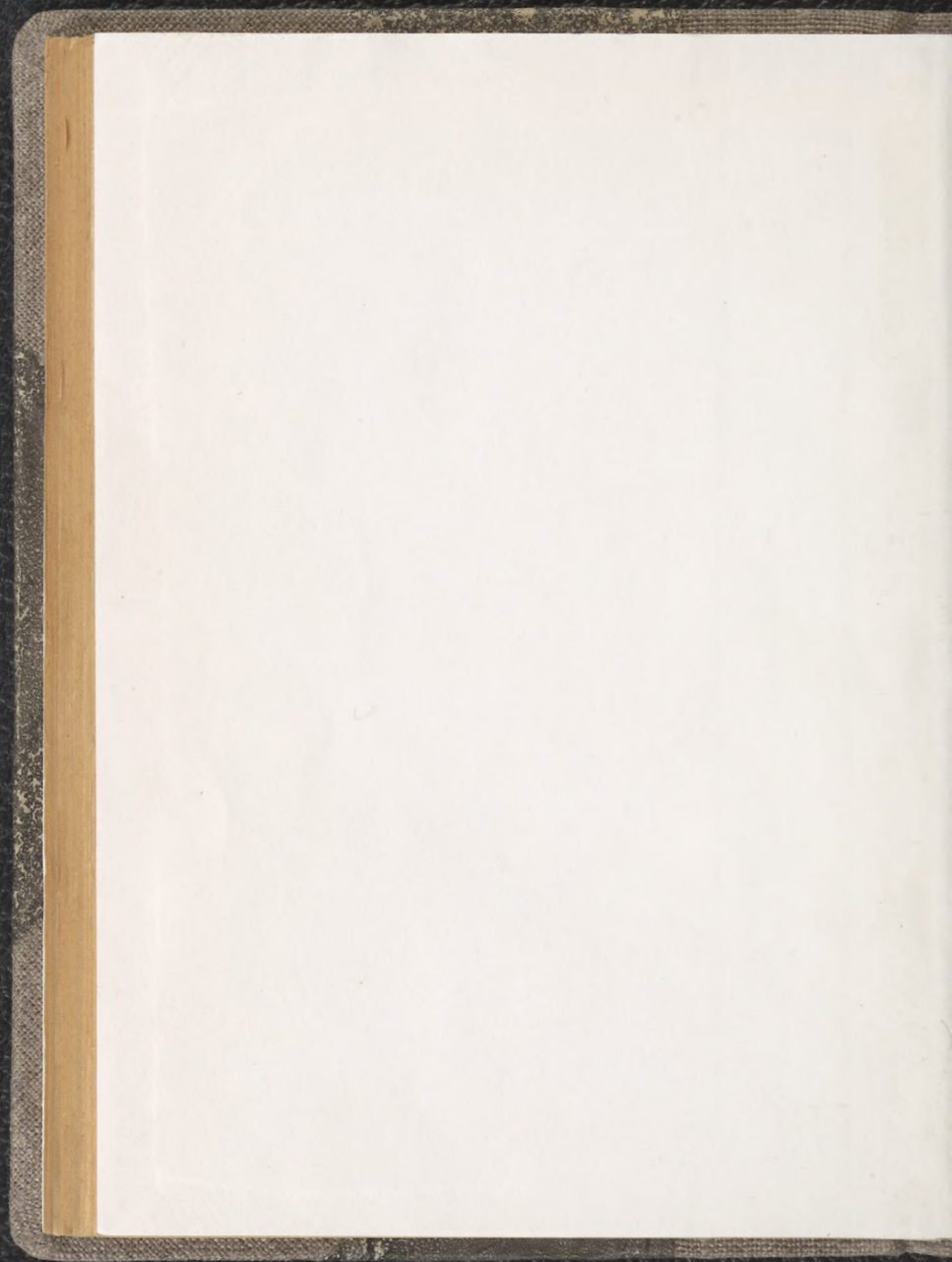


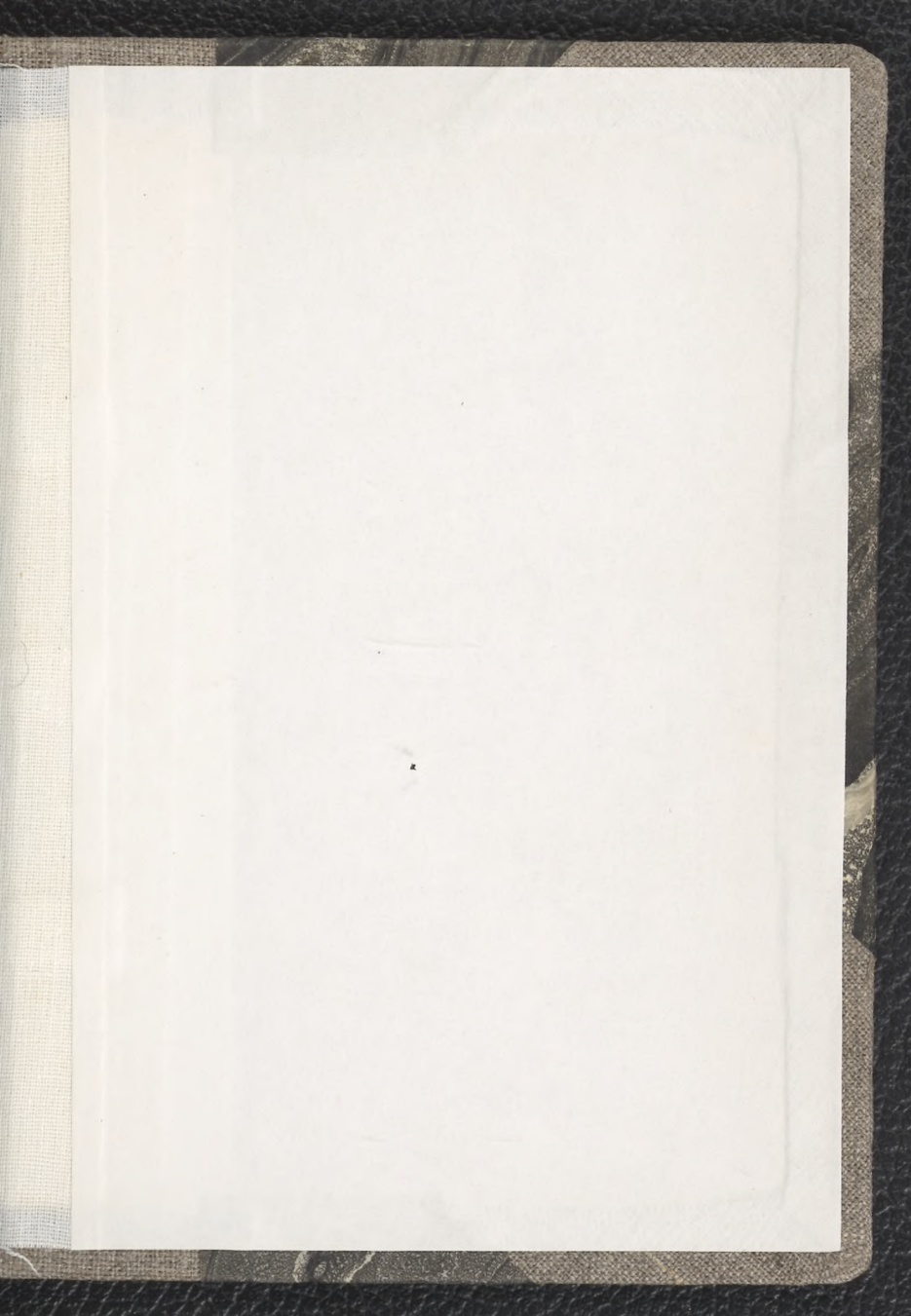


190.













218665

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001016538823